

STRONY: 4.

Festiwal
W SALONIKACH

6.7.

CHCIAŁBYM RYSOWAĆ WARSZAWĘ...

* * *
NIM Z POWROTEM WYLĄDUJEMY W SZCZECINIE

3.

STANISŁAW
CZERNIK

ODGŁOSY

ROK XVII NR 46 (885)

14 LISTOPADA 1974 ROKU

CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



REKOMENDACJE

W obecnym numerze więcej niż zazwyczaj miejsca poświęcamy problematyce zagranicznej. Więcej za granicę jeżdżą nasi Czytelnicy, również nasi Współpracownicy wykazują większą ruchliwość. Stąd korespondencje Włodzimierza Krzemińskiego i Andrzeja Gruna — reporterskie refleksje o życiu codziennym Danii, Szwecji i londyńskiej ulicy.

Częściej niż kiedykolwiek wyjeżdżają za granicę łódzcy artyści: Anna Iżykowska, znany krytyk muzyczny, towarzyszyła zespołowi Teatru Wielkiego na festiwalu w Salonikach. Władysław Orłowski pisze o teatrze polskim za Olzą, a Piotr Słowikowski recenzuje „Pożądanie w cieniu więzów” O'Neill'a, którym Teatr Powszechny w udany sposób zainaugurował nowy sezon teatralny.

W cyklu „Nauka, postęp, dobrobyt” zabiera głos doc. Stanisław Kuszewski, rektor PWSFTviT w Łodzi. Natomiast Konrad Frejdlch w reportażu „Sukces” pisze o autentycznym sukcesie naukowo-technicznym zespołu Politechniki Łódzkiej pod kierownictwem doc. Zdzisława Hasia.

Na kolumnie literackiej publikujemy opowiadanie popularnego łódzkiego pisarza, Janusza Skoszkiewicza „Wnuczek”, a Jerzy Rzymowski prezentuje najnowszą książkę Leona Gomoliczkiego „Erotyk”. W „Słowniku pisarzy łódzkich” sylwetka twórcza Stanisława Czernika.

Ponadto w dziale literackim publikujemy wystąpienie dr Ludwika Gebła na XIX Światowym Kongresie Unii Pisarzy-Medyków oraz informacje („Literatura XXX-lecia w Łodzi”) o sesji naukowej zorganizowanej przez Instytut Filologii Polskiej UŁ.

SUKCES ŁÓDZKICH NAUKOWCÓW

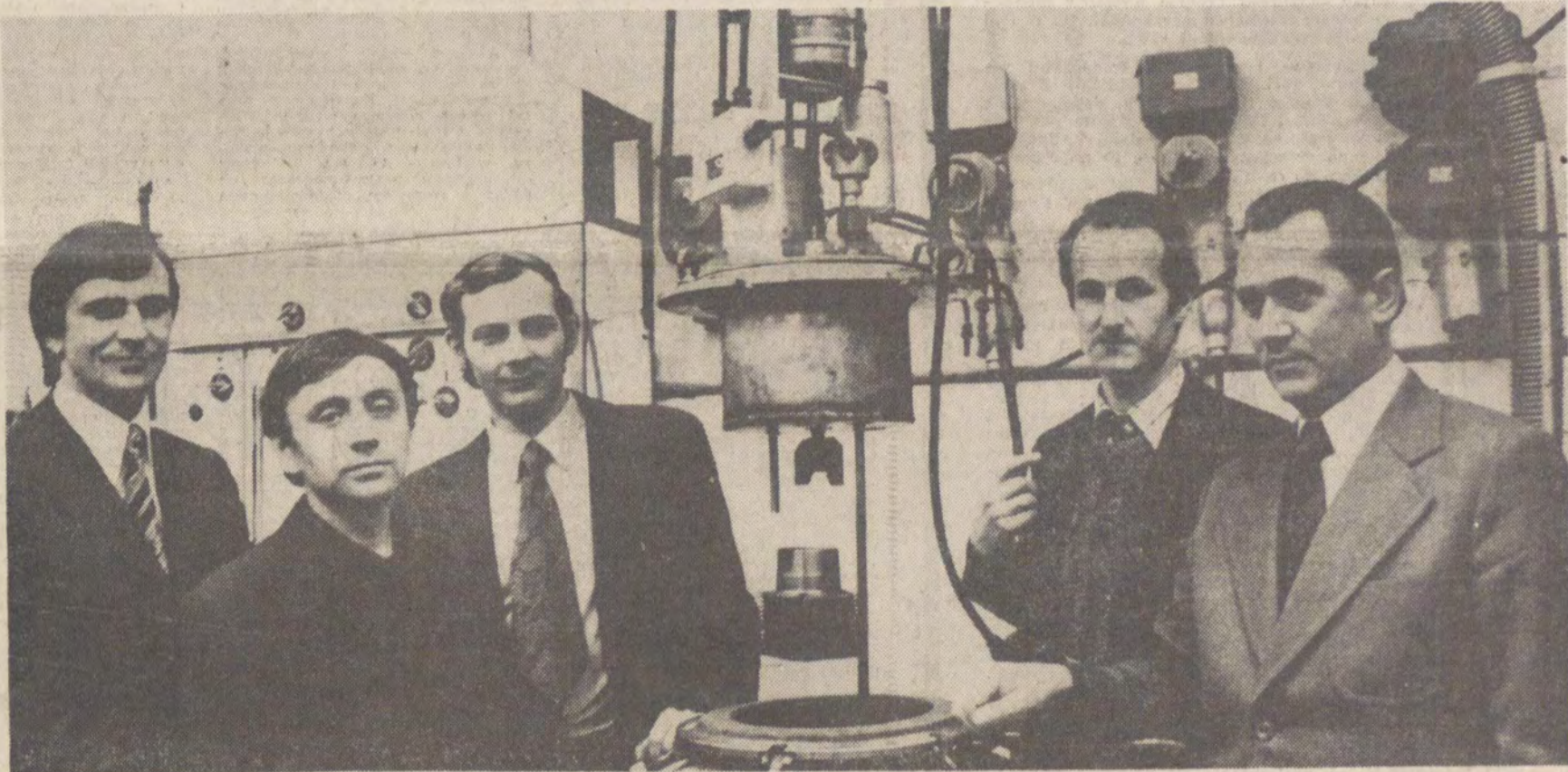
O kłopotach wynalazców napisano już całe tomy. Można by nawet pomyśleć, że postęp wyznaczył śmia-

kom stałą cenę za wydarcie jeszcze jednej tajemnicy świata. Pasja badawcza, tak nieodłącznie związana z

ryzykiem, jest więc często dla odkrywcy przekleństwem. Nawet wówczas, gdy wynalazek spełnia pokłada-

ne w nim nadzieje, gdy powinien szybko rentować pracując na sławę i materialną niezależność autora. Ież to bowiem twórczych pomysłów zmarnowało się natrafiając na niewytłumaczalne przeszkody. A prze-

Dalszy ciąg na str. 5



NIM Z POWROTEM WYLĄDUJEMY W SZCZECINIE

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Zadnej tam krzątający, pokrzykiwań, ciągnięcia lin i łańcuchów, żadnej, że tak powiem, specyfiki. Załoga stateczku liczy podobno siedemnaście osób z kucharzem i stewardem, ale przez cały czas nie było momentu, żebyśmy widzieli więcej niż czterech na raz, mianowicie w messie, w czasie obiadu. „Mess” to piękne słowo, conradowskie, i należy go tutaj użyć, chociaż można by równie dobrze powiedzieć „stołówka”, od której pomieszanie, gdzie się na naszym statku jadło, różniło się tylko rozmiarami: było małućkie, cztery stoliki, telewizor, sfatygowane krzesła. W kabinie pod pokładem, do której schodzić trzeba tyłem po bardzo stromych schodach, okno nazywa się bulaj i to już jest coś: okrągłe, małe, zakręcane mocnymi śrubami, bo nieraz, przy większej fali, znajduje się

pod wodą. Poza bulajem kabinka jak w wagonie sypialnym. Czesio na górnym posłaniu, ja na dolnym, w kącie umywalka z ciepłą wodą, małe stolik i szafka. Wystarczy.

Baltyk to jeszcze nie wielkie morze, ale brzegów nie widać. Mewy ślądają na szczycie dźwigu (psiakość, dlaczego nie masztu, nie na rejach i fokbomach i różnych takich, tylko na prozajnym, stalowym dźwigu), mijające nas co kilkanaście minut statki buczą swoje morskie pozdrowienia, albo i nie buczą, suną obojętnie, bezładne, małe i ogromne, płaskie i wielopiętrowe ciche, jak widma. Zapadł wieczór, na mostku kapitańskim zapala się światełko. Tam za szybą widać jedyną ludzką twarz. Stoimy z Czesiem na samym dziobie, który pewnie nazywa się inaczej, ale nie pamiętam jak. Wszy-

sko na naszym stateczku jest z żelaza i blachy, nikt więc tutaj niczego nie szoruje — co to za pokład, którego marynarze nie szorują? Marynarze — wyobraźcie sobie — chodzą w teksasach i bamboszach, pozbawiając nas resztek złudzeń o romantyzmie swego zawodu. Klną, owszem zgodnie z legendą, ale tak samo klną chłopaki z Lutomińskiej. I baczki też mają i poniekąd wstają do ramion, wieczorami siedzą w messie i oglądają Kobrę, ochmistrz czasem gra w szachy z pierwszym oficerem, godziny mijają, płyniemy wcale tego nie czując.

Chwilami jest ślicznie: na samym końcu świata, gdzie czarna woda styka się z granatowym niebem, pokazuje się złota kreska. Tam musi być miasto, tam jest ziemia i ludzie, jaka ziemia? Dania? Szwecja? Wyspa czy ląd? Kreska wolnitko się przesuwa, z czego wnioskujemy, że jednak nasza „Dziedzilja” nie stoi w miejscu, potem niknie, potem ukazu-

je się Inna, gdzie Indziej, tuż pod gwiazdami, może to jedna z nich?

W południe wypłynęliśmy z Kopenhagi, nad naszą lupinką podniósł się szarmancko ogromny most na Inderhavn, nasz kapitan wołał coś po angielsku do Duńczyka z rudą brodą, śledzącego na wieżycze nad mostem. Ledwieśmy przemknęli — most opadł bezszelestnie, ruszyła ława samochodów, rowerów i ludzi. To jest najruchliwszy most świata: co parę minut staje dęba, znów kładzie się pod stopy ludziom i pod kółka niezliczonym pojazdom, znów wierzga — a to jest samo śródmieście wielkiej stolicy!

Wypłynęliśmy, powiadam, w południe, andersenowską syrenkę — symbol duńskiej stolicy, znany z tysięcy pocztówek i folderów — oglądaliśmy przez lornetkę, eh, na folderach wygląda okazałej. Na folderach ma za

Dalszy ciąg na str. 6

JÓZEF DUTKIEWICZ

FRANCJA

START W LATA OSIEMDZIESIĄTE

Pod tytułem: „Wzlot Francji w lata osiemdziesiąte” ukazała się w Paryżu w zeszłym roku, w znanym wydawnictwie Hachette, książka, będąca wynikiem badań kilku autorów z Instytutu Hudsona na temat bogactwa Francji i przyszłości Europy. Książka należy do dość modnego na Zachodzie gatunku studiów futurologicznych. Badania oparte są o dane ONZ i Banku Międzynarodowego. Autorzy nie podpisali poszczególnych rozdziałów, biorąc odpowiedzialność zbiorową za całość wykładu, przedmowę napisał Herman Kahn. Autorzy są przeważnie Amerykanami, choć książkę opublikowała firma paryska.

Zasadniczą tezę książki jest, że Francja weszła na drogę szybkiego rozwoju gospodarczego, że w najbliższej przyszłości wyprzedzi RFN tak w produkcji globalnej, jak i w dochodzie na jednego mieszkańca. Zespół Instytutu Hudsona jest przekonany, że Francja wyprzedzi również Anglię.

Francja, stwierdzają autorzy, jest obecnie krajem najbardziej przężnym w Europie, za 10 lat powinna osiągnąć dochód na jednego mieszkańca wyższy niż w Szwecji. Obserwujemy wyraźny renesans gospodarczy Francji — pisał, Francja posiada doskonałą biurokrację, która jest w stanie kierować gospodarką planową. Tutaj zawsze interwencja rządu okazywała się skuteczną i celową. Francuska polityka gospodarcza znalazła doskonałe rozwiązanie dla organizacji wycieczek i pracy. Błędne jest dotychczas panujące przekonanie, jakoby gospodarka francuska była gospodarką drugiego rzędu. Takie opinie były prawdziwe dla Francji pierwszych lat XX wieku.

Od roku 1960 Francja wykazuje największy przyrost bogactwa w Europie zachodniej. Robotnik francuski jest wydajny, inteligentny. Istnieją sprzyjające warunki dla rozwoju inwestycji. Można przypuszczać, że ten trend rozwojowy utrzyma się do roku 1970 i po roku 1980. Jesteśmy przekonani — piszą autorzy tej książki — że Francja w r. 1990 zrówna się w dochodzie na głowę mieszkańca ze Szwecją i Szwajcarią, a przewyższy Stany Zjednoczone.

Francja inwestuje wydajnie w lotnictwo, informatykę, elektronikę, posiada bardzo szeroko rozwinięty system usług. Już dziś dochód na głowę ludności w Francji przewyższa dochód obywatela angielskiego o 25 proc., odwrótnie było w roku 1958, gdy Anglia była bogatsza. Zapewne pod tym względem dogonią Anglię wkrótce także Włochy, które wykazują znaczne tempo przyrostu dochodu narodowego.

Rozdział drugi książki nosi tytuł, który jest hasłem: Francja to kraj bogaty. Francja weszła w drugą rewolucję przemysłową. Do przeszłości należy stagnacja przemysłu francuskiego z lat poprzedzających drugą wojnę światową, jak do przeszłości należy częsta zmiany ekipy rządowej, tak charakterystyczne w latach trzydziestych. Z pierwszej wojny światowej Francja wyszła z mentalnością kraju pobitego. Kapitały amerykańskie po r. 1924 płynęły do sąsiednich Niemiec weimarskich.

Renesans społeczeństwa i gospodarki francuskiej zaczął się dopiero po r. 1945. W latach 1960—1970 Francja pozbyła się opieki Stanów Zjednoczonych, datującej się od czasu planu Marshalla. IV Republika weszła już wtedy na drogę planowania, co kontynuuje dalej V Republika i podwójna tempo przemian. Na dobre Francja uprzemysłowała się dopiero po roku 1958.

Tempo rozwoju przemysłu już przed wojną Francja przewyższała Anglię. Przewaga nad tempem rozwoju RFN stała się wyraźna w latach następnym: 1960—1970. Dziś pod względem dochodu na głowę Francja zajmuje 7 miejsce, już w r. 1985 będzie zajmowała 5 miejsce.

Autorzy są przekonani, że wzrost ekonomiczny Francji nie jest przypadkowy, lecz związany z mentalnością przeciętnej Francuza. Obserwuje się nieustanny wzrost wydajności pracy, innowacji technicznych, ulepszeń w zarządzaniu. Obserwuje się natomiast spadek zatrudnienia w rolnictwie i górnictwie, natomiast rośnie ilość techników, chemików, elektroników. Hość kształcącej się jest we Francji wyższa niż w RFN i Anglii, większy jest też wzrost budżetu oświaty. Francja nie doznała zjawiska odpływu inteligencji z kraju po 1945 roku, jak obserwować można było w Anglii i RFN. Te czynniki składają się na fakt, że współcześni Francuzi stają się bardziej produktywni niż Anglii. Wzrost wydajności pracy jest we Francji większy niż w RFN i Anglii, przy czym RFN wykazuje tendencję zahamowania. Robotnik francuski pracuje dłużej niż niemiecki, absencja jest mniejsza. Siłki są silniejsze niż w RFN, ale mniej liczne niż w Włoszech i w Anglii. Obserwujemy, że rośnie siła wielkich przedsiębiorstw francuskich. Rozwinęły się badania teoretyczne nad organizacją przedsiębiorstw. Francja stała się społeczeństwem produktywnym wysokiej rangi.

Inwestycje obecne w gospodarce francuskiej odgrywają niewielką rolę. Inwestycje amerykańskie we Francji były 4-krotnie niższe niż np. w RFN. Kapitały francuskie wykazują znaczny przyrost. Francuzi bronią na przykład swej informatyki od uzależnienia od obcego kapitału. Charakterystyczne jest, że Francja ma dwa razy więcej reaktorów i dwa razy więcej energii elektrycznej stromo-wej niż RFN. Handel zagraniczny w gospodarce Francji odgrywa mniejszą rolę niż w RFN czy Anglii. Wino i konfekcja przesyłały być głównymi artykułami eksportu.

Francja przeżywa nową rewolucję przemysłową. Tego na ogół nie dostrzega się, myślimy kategoriami przestarzałymi. Powstanie EWG nie osłabiło aktywności dyplomacji francuskiej i jej oryginalności. Europie długo imponował niemiecki cud gospodarczy, teraz może podziwiać Francję.

Dalej autorzy rozważają perspektywy rozwoju EWG, która z okresu pomyślnie negatywnych przechodzi do rzeczywistej kooperacji. Dalsze szanse to pozyskanie krajów śródziemnomorskich wykazujących tak wielkie tempo przyrostu produkcji i bogactwa. Francji, położonej także w basenie Morza Śródziemnego, przypadnie rola koordynatora. Francja będzie solidaryzować się z krajami młodymi — piszą autorzy z Hudson Institute.

Polityka francuska była od dawna polityką odprężenia. Autorzy są przekonani, że wzrost bogactwa Francji nie spowoduje jej izolacji w Europie. Francja kroczy bowiem po własnej drodze rozwojowej i ma dość bogactw kulturalnych, bogaci się „z elegancją” — piszą autorzy. Bogactwo Francji otworzy drogę do rozwoju kultury. Technokracja nie zabije dobrych cech francuskiej mentalności.

Autorzy nie zamykają jednak oczu na niedostatki gospodarki francuskiej: nie rozstrzygnięty problem mieszkaniowy, kłopoty z obcą siłą roboczą, mało telefonów, mało autostrad. Są to jednak trudności do pokonania. Jak wszelkie prognozy tak i opinie Instytutu Hudsona należy jednakże przyjmować ostrożnie, z rezerwą, jako hipotezy prawdopodobne, ale niekoniecznie pewne.

„GŁOS WŁÓKNIARSKI”

Ukazał się pierwszy numer „Głosu Włóknierskiego”, gazety zakładowej ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex”. Pismo jest organem Samorządu Robotniczego jednego z największych łódzkich zakładów, odznaczony niedawno orderem Sztandaru Pracy i klasy.

„Pragniemy by w kręgu zainteresowań pisma znalazły się wszystkie zagadnienia, które nurtują załogę — deklaruje redakcja w artykule wstępnym — myślimy nie tylko o problemach produkcyjnych, życia politycznym, społecznym czy kulturalnym załogi, lecz także o ważnych problemach społecznych. Otwieramy nasze łamy dla problematyki postępu technicznego i ruchu racjonalizatorskiego. Sądzimy, że zechcą na naszych łamach zabierać głos ekonomiści i organizatorzy produkcji... chcemy także wprowadzić dział porad prawnych, kąciki mody, rozrywkę kulturalną itp.”

Pierwszy numer „Głosu Włóknierskiego” jest potwierdzeniem tej deklaracji i mimo że w pewnym sensie jest to wydanie okolicznościowe, przy-

nosi wiele ciekawych informacji o zakładzie, podnosi kilka ważnych problemów, którymi aktualnie żyje załoga „Poltexu”. Należą do nich sprawy perspektyw i modernizacji zakładu, podsumowanie powstającego przeglądu zasobów surowców, maszyn i urządzeń, przygotowania do wymiany legitymacji w organizacjach partyjnych, ruch racjonalizatorski. Ponadto w numerze zaprezentowano sylwetki „ludzi dobrej roboty”, przodujących pracowników zakładu: Ireny Swęd, Anny Misiewicz, Krystyny Stachowskiej i Józefa Woźniakiewicza; a także całą kolumnę przeznaczoną na „wypoczynek, sport i rozrywkę”.

Witając z sympatią nową gazetę zakładową życzymy zespołowi redakcyjnemu i społecznemu kolegium (redaktor naczelny Józef H. Wiśniewski) jak najszerzego kręgu czytelników, a załozce „Poltexu” wszelkich korzyści jakie wynikają z posiadania własnego organu prasowego.

(Jw)

Z okazji przypadającej w 1974 roku trzydziestej rocznicy powstania Polskiej Ludowej — redakcja „Wiadomości Produkcyjnych” i Zarząd Główny Stowarzyszenia Włóknienków Polskich ogłaszają konkurs na wspomnienie lub pamiętnik Uczestnikiem konkursu może być każdy mistrz i robotnik oraz pracownik zatrudniony w

min nadsyłania opracowań — pod adresem redakcji „Wiadomości Produkcyjnych”: Łódź, Plac Komuny Paryskiej 5A, skrytka pocztowa 211 — upływa z dniem 30 grudnia br. Najlepsze i najciekawsze wspomnienia zostaną nagrodzone i opublikowane w całości w ramach „Wiadomości Produkcyjnych”.

KONKURS NA WSPOMNIENIE

„MOJE 30-LECIE W PRZEMYSŁE LEKKIM”

Przewiduje się następujące nagrody:
nagroda pierwsza 10.000 zł
dwie drugie nagrody po 5.000 zł
dwie trzecie nagrody po 2.500 zł
trzy wyróżnienia po 1.000 zł
Nagrody przydzieli sąd konkursowy, powołany specjalnie przez organizatorów. Sąd konkursowy zastrzeżenie sobie prawo do innego podziału nagród w ramach sumy przeznaczonej na ten cel.
Ogłoszenie wyników nastąpi w przyszłym kwartale 1975 r.

Objętość prac dowolna. Terminy nadsyłania: do 30 września 1974 r.

(Jw)

Prezentujemy wystąpienie Ludwiga Gebla na XIX Kongresie Unii Światowej Pisarzy Medyków, który odbył się w dniach 2-5 października br. w Lugano. Jest to referat łódzkiego lekarza, członka Unii Polskich Pisarzy Medyków.

Unia Polskich Pisarzy Medyków narodziła się 8-9 października 1967 roku w Radziejowicach koło Warszawy, na pierwszym zjeździe, spotkaniu ludzi związanych z medycyną i zajmujących się twórczo literaturą. Członkowie Unii — to zarówno hobbysty jak i profesjonalści, których łączy wspólne cechy: wykształcenie medyczne i działalność literacka. Aktualnie, Unia Polskich Pisarzy Medyków liczy 76 członków. Jej dorobek literacki obejmuje około 300 pozycji książkowych. W skład Unii wchodzi 11 profesori i 10 docentów. Autorzy publikują w zakresie wszystkich gatunków literackich: powieści, opowiadania, dramaty, poezji, esejistyki, pamiętnikarstwa oraz publicystyki i pisarstwa popularno-naukowego.

POEZJA I MEDYCYNA

Panie i Panowie! Czy zadacie się na przeprowadzenie prostego testu-eksperymentu? Każdy otrzyma ma cztery kartki oznaczone tytułami: Poezja i Medycyna, Tradycja, Awangarda. Każdy uzupełni tytuły tylko jednym zdaniem: rozpoczynającym się od słowa: „Jest to...”. Zatem każdy poda cztery definicje. Eksperyment polegać będzie na sprawdzeniu, ile znajdzie się jednakowych definicji. Państwo nie zadacie się? Wobec tego, ogłaszam wynik. Wam znany Wszegnowy prawidło wykonalsie test. Nie było dwóch jednakowych definicji.

Skoro znaleźliśmy się tuż na terytorium Homo ludens, beda Państwo uprzedzić skupić uwagę. Chciałbym przedstawić drugie określenie. Rozwiązanie zadania przy pomocy Modelu Cybernetycznego i przy naszym współdziałaniu. Model Cybernetyczny składa się z trzech sal. Zaczynamy się z nim w pierwszej sali, mieszczącej się: Rzeczywistość, Sala ta ma dwie drzwi. Na jednej wiszawka: Twórcza. Na drugiej: Odbiorca. Naściam magicyzmu i Uruchamiam Model. Otwierają się drzwi tak w przelocie. Idziemy z prawą stroną do Sal Twórcy i zauważacie, że przelot jest rzeczywisty. Wiele z Sal Rzeczywistości. Zwracamy dale. Jesteśmy w Sal Odbiorcy. Tu przelot nie dochodzi do otwartych drzwi Sal Twórcy, którym weszliśmy i jednocześnie bezpośrednio z otwartymi drzwiami Sal Rzeczywistości. W każdej z sal rozgrywa się akcja. Rzeczywistość zmienia się. Zmienia się twórczo i zmienia się odbiorca. Pozostają otwarte drzwi na

przebieg. Na przebieg czasu. Dzieki Państwu Państwo pozostają, że wyłącza na chwile Model. Proponuję w przerwie przeanalizować tego mechanizm. Sądze, że uławi nam to, rozwiązaniem zadania: Poezja i Medycyna, Tradycja czy Awangarda.

A zatem — Sala Rzeczywistości. Jesteśmy w niej wszyscy, choć rzeczywistość nie zawsze przekracza próg naszej świadomości albo też zostaje wyparta z niej. Walczymy wśród własnych dażeń, wobec konieczności dokonania wyboru. W drodze do celu Walczymy od urodzenia. Przechodzimy na świat z szeregiem odziedziczonych modeli, zachowań i reakcji obronnych. Wzbogacamy je doświadczeniami. W momencie zagrożenia reagujemy „lekkiem lub gniewem. Uciekamy z pola zagrożenia lub stajemy się agresywni. Podani jesteśmy podległości seksualnemu, podległości śmiertelnej, a także podległości poznawczemu, którego przejawem są uczucia ciekawości. Znamy ponad towarzyszący nam zresztą w sobie społeczeństwa, w narodzie w grupie (np. w Świątyni Unii Pisarzy Medyków) oraz pod postacią samozachowawczy związane z echem posiadania (np. posiadania własnego dobowego wierzaka). Rzeczywistość odbiła się w naszym mózgu. Jest ona źródłem poznania i przysposobienie sobie i jest odbiorem, gdzieś wewnątrz, w nas, pozostałe dwie sale Modelu Cybernetycznego. W Sal Odbiorcy odnajdujemy Stację Odbiorczą, a w Sal Twórcy — Stację Odbiorczą-Nadawczą. Budowe tych stacji możemy przypomnieć sobie i jest odbiorem odkrywcze czasy. Zobaczymy Cortex cerebri, odpowiedzialną za naszą sferę poznawczą wyobrażeniową wraz z łob fron-

LITERATURA

tales, gdzie dokonują się procesy korekcyjne i integracja rozmaitych funkcji struktur mózgowych. Kiedy użyjemy skalpela, zobaczymy thalamus i hypothalamus, miejsca, do których napływają podnieci zmysłowe i gdzie rodzą się prymitywne uczucia: gniew, lek, podniecie seksualne, uczucie przykrości i przyjemności. I przypomnijmy sobie, że w każdym z tych miejsc działają neurohormony i skomplikowane dynamizmy biochemiczne, zanim powstaną impulsy elektryczne, decydujące o postępowaniu, poznaniu, myśleniu, uczuciach, podpadach, woli i działaniu. Nie jednakowo muszą jednak funkcjonować te Stacje Odbiorcze i Stacje Odbiorczo-Nadawcze, skoro nie jednakowo odbiła się w nich rzeczywistość — Pamiętajmy wyniki naszego testu — eksperymentu. Każdy inozej odbiera rzeczywistość, odkrywając siebie w niej i wreszcie zmienia ją. Tędy jest ten przebieg Powtarzam, dochodzi on z Sal Rzeczywistości do Stacji umiślościowych w Sal Twórcy i w Sal Odbiorcy.

W tym miejscu Panie i Panowie, ogłaszam koniec przemyśle. Naściam magicyzmu i Uruchamiam Model Cybernetyczny. Sprawdzam, czy działa w myśli podanych założeń. Wracamy w dziedzinie ścisłej poezji. Jej narodziny to nieścisłe naszych brzoźdźdźków. Służą one praktycznym magicyzmem, odczytują uroki, lecz z ehorobą lub przelotnością zle duchy. Zauważał to Eliot. Mieczysław Jastrun mówi: „Pragniemy wywołać z uroki życia, z obsesji śmiertelnej jest najścisła podniecia wszelkiej twórczości artystycznej. Potwierdza to fakt, że czytelnik poezji również szuka w lekturze dzieła — wzwolnienia. Poezja (...) stwarza momenty wyzwolenia, łącząc dwie zarzewiał nieozwiazłone sferze rzeczywistości i inna rzeczywistość, która może nadrealność. Tylko poezja może nam odłarować świat wolny od przymusu czasu i elezaru przestrzeni”. I jeszcze jeden cytat: „Oczywiście wymowa tych obszarych poezji (...) jest zawiła w każdej chwili od zasobu skołażeń, jakim rozporządza odbiorca; są to w końcu znaki, nuty — trzeba je wypełnić własną wi-

zła, która w poszczególnych wypadkach może bardzo się różnić”.
Panie i Panowie — aby nie przeciążać Aparatów Odbiorczych, nie zabieramy się na kilkadziesiąt wiek przed naszą erą i narzędu ery, micozoceny w Modelu Cybernetycznym. Może tylko powiedzieć na stwierdzeniu Jastruna, że poezja dwudziestego wieku żywym z sentymentalizmem, który w ubiełym wieku był nieodłącznym składnikiem wszelkiej liryki. Nie berie również omawiać bółu przemian, jako tematu poezji wszechczasów. I nie bede omawiać wspaniałych tendencji poezji intelektualnej, ani wierszy wolnych od ścisłej kontroli intelektu lub wierszy wieloznacznych, operujących aluzją przemienieniem podobieństwem. Chciałbym również pominać katastroficzne podłady różnych esejistów i historyków literatury na temat wszechczasów poezji, socjalnej w obliczu eksplozji technicznej, kultu maszyn jako narzędzia przewyższającego sprawność mózgu ludzkiego.

Panie i Panowie! Poezja jest także dokumentem historii, inspirowania i najbliższe doznania psychiczne. W medycynie stosowanej znajdujemy spotęgowany efekt tych doznań w postaci nerwicy. Poezja może stanowić katharsis, a może być ostrzeżeniem. Może jałgodzić swym alarumem, może uodarmiać. Jest źródłem doznaj wyższego rzędu, doznaj estetycznych i intelektualnych. Związek jej z medycyną nie ulega wątpliwości. Jest tradycywny odąd, odkąd Homo ludens nauczył się posługiwać słowem. Awangarda, wolać zę, związku zasada się na wlezą zmienną rzeczywistości, która odkrywamy i przebudowujemy jako lekarze i twórcy i humaniści.
Panie i Panowie! Nie może odnieść naciśniętego guzika Modelu Cybernetycznego i na moję so, tuż wlecząc. Uważam jednak, że zdążyłem sprawdzić i Sale Twórcy Sale Odbiorcy sprawdziłście sami.

LUDWIK GEBEL

LITERATURA TRZYDZIESTOLECIA W ŁODZI

Na ten temat odbyła się 22 października br. publiczna dyskusja w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego. Zorganizował ją Zakład Literatury Współczesnej tegoż Instytutu (wspólnie z Oddziałem Łódzkim Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza), a obok gospodarzy uczestniczyli w niej także liczni goście z pokrewnych placówek naukowych, pisarzy i studentów. Moderatorem debaty był prof. dr Zdzisław Skwarczynski.

Podczas przywitań dr. tego spotkania naszego wszelkie zewnętrzne znaniona imprezy okolicznościowej (jakich sporo w obecnym sezonie podsumowania i bilanśowe naszego dorobku), przypuszczano, że potrwa ona około dwóch godzin. Rzeczywistość zadada jednak przemiennie kłam twórczym prozozom — dyskusja trwała ponad pięć godzin!

Stalo się to wcale nie dzięki oratorskim talentom dyskutantów, którzy — wprost przeciwnie — zmuszeni byli do tak najwięcejszego przedstawiania swych poglądów. Był dat szanse wypowiedzi wszystkim ujawniłowych, lecz na skutek ujawnionych podczas uniwersyteckich obrad własności tematu z których nie zawsze zdaliśmy sobie na co dzień sprawę. Okazało się bowiem, że problematyka regionalnego życia literackiego, łódzkiej tradycji kulturalnej i współczesnego wkładu lokalnego środowiska pisarskiego

do kultury narodowej jest znacznie bosatsza, niż się potocznie mniama. Niesłuchanie przy tym zróźnicowania i atraktywna. Ujawniło się zreszta także wiele innych faktów, które warto polecić uwagę czytelników kierowniczych w naszym zjełu kulturalnym i placówek przekazułczych. Wyniki prac naukowych do szerokiego obiegu społecznego (zwłaszcza, prasa i instytucje oświatowe). Denaskatorski walor omawianej dyskusji polegał na przekonywawczym zaakcentowaniu możliwości i chęci miejscowego środowiska polonistycznego, do naukowego uporządkowania całokształtu wiedzy o Łodzi literackiej. Nie oterwała to zreszta próba „podniesienia kurtyny”, zasłaniającej to, co od lat się w pracowniach naukowych czyni, by ocalić od zapomnienia dorobek kulturalny naszego miasta.

Okazało się więc, że są ludzie, którzy zadanie takie podieli, systematycznie nad tematem: tym pracuła sromadzkie dokumentacje i badając poszczególne zjawiska, by przygotowana synteza miała rzetelne zaplecze faktograficzne, a interpretacje i uośnienienia nie miały statusu mydlanej bańki.

Prace te są częścią składową przedsięwzięcia ogólnokrajowego, któremu patronuje Komitet Nauk o Literaturze Polskiej PAN, a którego celem jest objęcie naukowym spojrzeniem całości życia literackiego w Polsce w okresie ostatniego stulecia. Przy tej okazji warto więc sobie otwarcie powiedzieć, że choć mamy w Łodzi tego celem test objęte naukowym spojrzeniem całości życia literackiego w Polsce w okresie ostatniego stulecia. Przy tej okazji warto więc sobie otwarcie powiedzieć, że choć mamy w Łodzi tego celem test objęte naukowym spojrzeniem całości życia literackiego w Polsce w okresie ostatniego stulecia.

generacji, o pracach przedłożonych łódzkich literatów, a nade wszystko o związkach literatury „łódzkiej” z przemianami społecznymi i kulturowymi w zjełu kraju oraz formowaniu się miejscowego, środowiska twórczego, jego przekształcania, dorobku, szansach i trudnościach. Może zreszta władnie wspólne rozpoznanie potrzeb i kłopotów w zakresie rozwoju kulturalnego naszego regionu zbliża twórców i ich naukowych komentatorów. Potrzeby obdwu środowisk są tu wspólne, jak wspólna jest troska o podniesienie jakości naszego — i naszego, tuż przede wszystkim — uczestnictwa w kulturze.

W sumie zatem trzeba powiedzieć, że dyskusja w Instytucie Filologii Polskiej, dowiodła, że twórczość pisarzy łódzkich, test pod naukową obserwacją, że dysponujemy kadra zdolna do sumiennego skwitowania przeszłości i krytycznego towarzyszenia współczesności. Można więc śmiało powiedzieć o dzisiejszych poszukiwaniach, integracyjnych oraz licznysz, środowiska twórcze i śmieć zastanowił się czy istnieje obecnie instytucjonalne formy działania łódzkiej humanistyki (np. możliwości publikacji) są dla wszystkich tych środowisk wystarczające.

J. Rz.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (rośpaczka redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMANSKI (drugi sekretarz).
Stałe współpracownice: ANDRZEJ GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRYSZTOF POGORZELEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

NAUKA • POSTĘP • DOBROBYT

W dynamicznym rozwoju społeczno-ekonomicznym Polski szczególnie szybkim na przestrzeni ostatnich czterech lat, ogromną rolę odgrywa nauka. W Łodzi mamy siedem wyższych uczelni. Społeczeństwo łódzkie coraz bardziej docenia ich znaczenie w rozwiązywaniu złożonych problemów gospodarczych i społecznych w kraju, w tym również w naszym regionie. Nasze wyższe uczelnie są dziś chlubą Łodzi.

Dając wyraz zainteresowaniu tą ważną problematyką zwróciliśmy się do rektorów wyższych uczelni łódzkich z prośbą o wypowiedzi na temat dalszych perspektyw rozwojowych uczelni, zamierzeń dydaktycznych i naukowo-badawczych w bieżącym roku akademickim oraz trudności, które hamują realizację programów rozwoju.

Dziś publikujemy wypowiedź rektora PW Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi STANISŁAWA KUSZEWSKIEGO.

Redakcja „Odgłosów” proponując mi udział w akcji prezentowania łódzkich wyższych uczelni, postawiła trzy pytania: o perspektywy rozwoju szkoły, o jej zamierzenia dydaktyczne i naukowe w bieżącym roku akademickim i o trudności w realizacji tych zamierzeń.

Pozwól mi pokrótce na te pytania odpowiedzieć, z tym jednak zastrzeżeniem, że „perspektywy” to raczej — przynajmniej na dziś — nasze własne zamiary i dążenia, jeszcze nie ujęte w plan zaakceptowany przez odpowiednie czynniki.

Cheśmy więc uruchomić studium scenopisarskie. Wyobraźmy sobie, iż będzie to dwuletni kurs dla ludzi, którzy umieją pisać. Szkoła powinna im umożliwić uzupełnienie niezbędnej wiedzy o dotychczasowym dorobku twórczości filmowej i telewizyjnej i przede wszystkim zapoznać ich ze środkami, jakie twórca widowiska ma do swojej dyspozycji. Szansa realizowania prób scenariuszowych (będą one stanowiły materiał do ćwiczeń dla studentów reżyserii) pozwoli na uzyskanie pierwszych doświadczeń o sposobach przetwarzania zamysłu scenariuszowego przez reżysera.

Bez mała wszystkie poważne uczelnie filmowe na świecie kształcą scenarzystów. Ale nie ten argument przemawia na korzyść naszej propozycji, tylko fakt, że bez odpowiedniego zaplecza autorskiego w istocie niemożliwy jest dalszy wyraźny postęp w rozwoju filmu i telewizji w Polsce. Telewizja nasza w zasadzie wyczerpała złoża materiałów, nadających się do prostej adaptacji, dlatego na nowo inscenizuje teksty, które już kiedyś oglądaliśmy na małym ekranie.

Uważamy za nieodzowne powołanie — przy współpracy pedagogów z łódzkiej PWSSP — wydziału fotografii i fotografii reklamowej. Nikt w kraju nie kształci kadr w tej dziedzinie, a zapotrzebowanie na dobrze

przygotowanych specjalistów z dnia na dzień rośnie. Szkoła nasza ma już spory dorobek dydaktyczny w zakresie nauczania fotografii: stanowi on ważną część składową edukacji operatorów i reżyserów.

Chełlibyśmy dalej — wspólnie z Uniwersytetem Łódzkim, jeżeli zaakceptuje taką propozycję, utworzyć studium teorii sztuk audiowizualnych. Chodzi przy tym o takie ukierunkowanie programu nauczania, aby przyszli krytycy, popularyzatorzy oraz działacze kinematografii i telewizji uzyskiwali w czasie studiów nie tylko wiedzę książkową, ale także znajomość warsztatu — tworzyła i jego możliwości. Przecież większość aktualnie działających u nas krytyków i teoretyków sztuk audiowizualnych, to ludzie, którzy nie wiedzą, w jaki sposób powstaje film czy widowsko-telewizyjne. Stąd trudności w ocenie poszczególnych elementów składających się na końcowy efekt artystyczny. Stąd impresyjno-felietonowy charakter publikacji i brak ich bardziej znaczącego wpływu na przebieg wydarzeń.

Koprodukcja z Uniwersytetem Łódzkim może być korzystna dla obu stron. Szkoła nasza jest w stanie wnieść do tego układu to wszystko, co dotyczy wprowadzania studentów w praktyczną znajomość przedmiotu.

Rozważamy również projekt powołania wydziału dziennikarstwa telewizyjnego. Dotychczas istniejące specjalizacje telewizyjne na studiach dziennikarskich funkcjonują bez szans szerszego dostępu do podstawowych narzędzi pracy: do kamer filmowych, do studia telewizyjnego. Nauczanie ma więc charakter werybalny, a, jak powszechnie wiadomo, umiejętności nikt jeszcze nie nabył z samych tylko opowiadań.

PWSFTViT od dwóch lat, z niezłymi rezultatami kształci — systemem znacznym — realizatorów programów dziennikarskich. Ponadto posiada nie-

zbędną bazę do realizacji prac praktycznych. Sądzę, że tylko my jesteśmy w stanie pokusić się o dobre przygotowanie studentów do pracy dziennikarskiej w telewizji.

Tak obszerny program rozbudowy szkoły nie jest rezultatem przerostu ambicji. Wynika on przede wszystkim z aktualnych i przyszłych potrzeb kadrowych filmu i telewizji. Wynika także z wewnętrznych potrzeb szkoły. Bez studium scenopisarskiego trudno jest realizować program nauczania na wydziale reżyserskim. Studium teorii potrzebne jest także po to, aby ożywić ruch umysłowy uczelni.

Scenopisarstwo będziemy mogli otworzyć już w przyszłym roku akademickim, pozostałe kierunki — po otrzymaniu za dwa lata dodatkowych pomieszczeń.

Na razie, na życzenie telewizji, wznawiamy eteroletnie zaochne studia reżyserskie i operatorskie dla pracowników twórczych telewizji i kinematografii. Jest to poważne przedsięwzięcie. W dniu 1 stycznia 1975 będziemy mieli w szkole blisko 200 uczestników studiów zaochnych — bez mała tylu, ilu na studiach stacjonarnych.

Szkoła musi się rozrastać. Wkroczyliśmy w nową epokę, epokę kultury audiowizualnej. Nic nas nie uchroni przed koniecznością podjęcia zadań, jakie ten fakt stawia przed szkolnictwem artystycznym.

Opracowaliśmy i wdrażamy nowy program i nowy system nauczania na kierunkach filmowych.

Podstawowym dylematem było i jest zagadnienie specjalizacji. Jak wiadomo w budowaniu widowskiego i telewizyjnego występuje wiele cech wspólnych. Podstawowe konwencje przedstawienia rzeczywistości przy pomocy ruchomego ciągu „obrazów dźwięczących” na płaszczyźnie ograniczonej ramą są w obu przypadkach prawie identyczne. Są też jednak i różnice. Niedługo negowano ich istnienie, dziś wszyscy zdają sobie sprawę z dość istotnych odrębności.

Próby skodyfikowania specyfiki kina i telewizji nie wytrzymują na ogół próby czasu. Postęp techniczny w obu dziedzinach stawia na porządku dziennym coraz to inne problemy. Dawniej za telewizję uważano jedynie widowską nadawaną „na żywo”. Obecnie rejestracja na taśmie filmowej i magnetycznej stała się technologią panującą. Być może już za kilka lat także i filmy kinowe realizować się będzie przy pomocy techniki elektronicznego zapisu.

Postanowiliśmy zatem, że nauczanie reżyserii powinno mieć charakter uniwersalny — przysposabiać do pracy w obu dziedzinach wypowiedzi. Za takim rozwiązaniem przemawiała również rotacja kadr twórczych pomiędzy filmem a telewizją, a nawet, pomiędzy teatrem, filmem i telewizją.

Studia filmowe (tj. reżyserskie i operatorskie) podzielił na dwa okresy różniące się od siebie celami i metodami nauczania. Studium podstawowe, dwuletnie, zmierza do opanowania przez studenta elementów języka sztuk widowskich. Studenti będą w tym czasie wykonywać obowiązkowe zadania zlecone im przez pedagogów.

Studium wyższe, tj. trzeci i czwarty rok nauczania, to stworzenie warunków do pełnego rozwoju osobowości studenta, jego inicjatywy twórczej. Zakładamy, że nauczanie będzie się odbywało na zasadzie indywidualnie — przy udziale zainteresowanego — opracowywanych programów, uwzględniających dyspozycje i zamierzenia studenta. Student w tym czasie będzie miał możliwość wyboru opiekunów poszczególnych ćwiczeń praktycznych.

Nauczanie odbywać się będzie systemem dekadowym, tj. jedna dekada w miesiącu poświęcona zostanie na zajęcia audytoryjne — dwie pozostałe na realizację widowisk filmowych i telewizyjnych. Chodzi o to, żeby teoria i praktyka nie przeszkadzały sobie wzajemnie, jak to się często zdarzało poprzednio.

Ponadto program przewiduje obowiązkowe praktyki studentów w kinematografii i telewizji. Będą także oni asystentami przy widowiskach realizowanych przez czołowych reżyserów.

Oczywiście wprowadzenie tego systemu spowoduje początkowo pewne trudności, jednak zdecydowaliśmy się podjąć to ryzyko, ponieważ system dotychczasowy musiał zostać odrzucony jako całkowicie nieprzydatny do aktualnych potrzeb kształcenia.

Czeka nas w najbliższym czasie kolejne ważne zadanie: modernizacja programu i systemu nauczania aktorów.

Trudności podzielić można na obiektywne i subiektywne. Subiektywne wynikają z niedoboru środków finansowych, z braku pomieszczeń dydaktycznych, z niedostatku bazy sprzętowej. Nie chciałbym nimi zaprzętać uwagi czytelników pisma. Trochę się w tym zakresie w szkole poprawia, są dość realne widoki na dalszy postęp w tej dziedzinie.

Trudności obiektywne są dwójakiego rodzaju. Jedne wynikają ze złożoności samej materii: nauczanie przyszłych artystów to zagadnienie o wysokim współczynniku komplikacji. Z programem na przykład borykają się wszystkie szkoły filmowe na świecie. Reguła jest, że zmienia się ten program wszędzie niemal co roku. Są i takie uczelnie, które w ogóle negują potrzebę jednolitego programu nauczania.

Drugim czynnikiem w pewnym stopniu obiektywnym jest dość częsty w środowisku filmowym pogląd na sposób bycia artysty. Kiedy po wielu latach pracy dziennikarskiej i po wie-



lu latach pracy w telewizji znalazłem się pewnego dnia w kinematografii, zdumiałem mnie, to, że na przykład reżyserzy filmowi czekając po trzy do pięciu lat na swój następny film, nie przejawiają w tym czasie żadnej aktywności: zawodowej, społecznej, jakiegokolwiek innej. Nie wzbogacają swojej wiedzy o sztuce i społeczeństwie, nie szukają związków z innymi ludźmi — poza środowiskiem. Nie widziałem na przykład reżysera, który z własnej inicjatywy obejrzałby jakiś istotny dla rozwoju sztuki filmowej film na stole montażowym. Rezultaty łatwo jest przewidzieć. Sukcesy odnoszą przede wszystkim ci, co bez przerwy pracują, wykorzystując każdą możliwość podjęcia pracy twórczej. Nie ma pomysłu na fabule, realizuje dokument lub film oświatowy, widowsko-telewizyjny, teatr, ba — można by także, jak to się przydarza niektórym wybitnym twórcom na Zachodzie, robić niekiedy filmy reklamowe.

Otóż tę skłonność do zaniechania jako postawy wobec życia, obserwować można u wielu studentów aspirujących do pracy w zawodzie reżysera. Także niechęć do pomnażania wiedzy, nie tylko teoretycznej, ale i warsztatowej.

Najlepszy program i najlepsze warunki niewiele pomogą, jeśli nie nastąpi wyraźna zmiana poglądu na tę sprawę, jaką — przy wszystkich niedostatkach — stwarza studentowi szkoła. Chodzi o to, aby nie trzeba było powtarzać za klasykiem:

Panowie by mogli mieć
ino oni nie chcą chcieć!

STANISŁAW KUSZEWSKI

STANISŁAW CZERNIK

Stanisław Czernik urodził się 16 stycznia 1899 roku w Zochcinie w powiecie opatowskim. W 1925 roku ukończył studia na Wydziale Prawno-ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego. Nauce towarzyszyła praca nauczycielska w prowincjonalnych miasteczkach kujawskich. Na ten też okres przypadają pierwsze próby sil na niwie poetyckiej (debiut w 1922 roku — tomik „Drabina do gwiazd”, nagrodzony w konkursie literackim lwowskiego „Lektora”). W r. 1930 zamieszkał w Ostrzeszowie, gdzie po roku otrzymał nominację dyrektorską w Gimnazjum Humanistycznym. Pięć to zbiory wierszy: „Poezje” (1931), „O polskim płocie” (1933), powieść „Gorycz” (1938, wyróżniona w konkursie „IKC” w 1936 r.) zajmuje się także krytyką literacką. Tu wreszcie, w 1935 r. zakłada redakcję słynnej „Okolicy Poetów”, którą wydaje z przerwami do 1939 roku.

Lata 1939—1947 spędził poza granicami kraju, prowadząc emigracyjne gimnazja dla uchodźców polskich. Dramat ojczyzny utrwalił w napisanych później powieściach wspomnieniowych: „Ucieczka z Czeremosz” (1957) i w „Wichurze” (1958) oraz w utworach poetyckich: „W osiemnastym dniu wojny” i w poemacie „Legenda zdraźdzonego wojska”.

W r. 1949 Czernik osiedlił się na stałe w Łodzi, której już nigdy nie opuścił. Powziął tutaj wiele cennych dla środowiska kulturalnego inicjatyw; przyczynił się do powstania Wydawnictwa Łódzkiego, do zorganizowania wielkiego ogólnopolskiego konkursu powieściowego (1957—1958), który zgromadził blisko dwieście pozycji, do wydawania „Rzeczy Poetyckiej”, „Łodzi Literackiej”, „Kroniki”, a w latach 1955—1959 był prezesem Zarządu Oddziału Łódzkiego ZLP.

Powojenny dorobek twórcy pisarza jest różnorodny; obok poezji Czernik uprawia dramaty („Bezprym” — 1949, „Balcer Susło albo złota książeczka” — 1951), powieści wspomnieniową i historyczną („Smolarnia nad Bobrową wodą” — 1949, „Uniwersał Czarnieckiego” — 1953, „Wierne kopy” — 1954, „Wór pszenicy” —

1955 i inne), opowiadanie („Cienie różowych gór” — 1956, „Nowina” — 1964), reportaże, esej, zajmuje się edytorstwem i badaniami naukowymi nad polskim folklorem. W 1963 r. otrzymał nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za powieść „Reka”. Ostatnie lata życia pisarza, to okres przemysliwań o jakimś pełniejszym podsumowaniu jego doświadczeń życiowych i twórczych. Zaczął je szkicować w esejach „Sny i Widma”, „Przed ciszą”, których, niestety, nie dane mu było zobaczyć po wydrukowaniu. Zmarł 3 grudnia 1969 roku.

W spuściźnie Czernikowskiej dostrzec możemy trzy główne etapy rozwoju jego twórczości. Pierwszy wiąże się z okresem wędrówki nauczycielskiej i debiutów — czasem dojrzewania twórczego, drugi z okresem ostrzeszowskim — czasem kryształizacji myśli poety i trzeci z okresem łódzkim — czasem największej aktywności i wszechstronności zainteresowań pisarza. Zatrzymamy się nad dwoma ostatnimi, które dla drogi twórczej Czernika wydają się najciekawsze.

Ostrzeszów — prowincjonalne miasto wielkopolskie — stał się dzięki Czernikowi ośrodkiem kulturalnym znanym na mapie poetyckiej międzywojennej Polski. Tutaj sformułował Czernik teorię autentyzmu w poezji (autentyczne przeżycia poety jedną podstawą liryki!), tutaj wydawał i redagował jedno z najciekawszych pism poetyckich dwudziestolecia — „Okolicę Poetów”, ogłaszając w czterdziestu dwóch numerach tego czasopisma utwory kilkuset poetów o różnych orientacjach twórczych, patronując akcjom translatorskim (przekłady nieznanej dotychczas poezji fińskiej i lotewskiej), przede wszystkim zaś skupiając wokół siebie grupę poetów ludowych (Tadeusz Demczyk, Józef Frasik, Czesław Janczarski, Bolesław Kobrzyński, Jan B. Ozóg, Jerzy Pietrkiewicz, Stefan Szajdak), wyznających Czernikowski autentyzm. Wychodząc z założenia, że lud przechowuje wartości narodowe i używając nowoczesnych rozwiązań formalnych — autentyści z całą swia-



domością przemycili do poezji stare wyobrażenia ludowe, a jednocześnie jako poeci wywodzący się z ludu, podnieśli na wyżyny własne, chłopskie środowisko. Celem autentyzmu było poszukiwanie tradycji chłopskiej w odróżnieniu od uznanej tradycji szlacheckiej narodu — stąd obsesyjne powracanie ku bezimiennym „antonomom”, historiom chłopskich „rodów”, zainteresowanie archetypami.

Aspekt społeczny tej teorii zmuszał jej propagatorów do wiązania literatury z pierwiastkiem plemiennym, ludowym narodem. Autentyzm w całej swej postaci odbiegał od innych kierunków poetyckich dwudziestolecia — generalnie rzecz ujmując — nowoczesną cywilizacją; stanowił również antidotum na dotychczasowy kracjonizm. Był kierunkiem szeroko dyskusywanym, miał licznych przeciwników, ale także i sporą grupę protagonistów. Usiłowano go odrzucić i ożywić jeszcze po wojnie, lecz bez udziału Czernika, który przestał wypowiadać się na temat samego kierunku. Pozostała legenda autentyzmu i próby twórczej kontynuacji idei tego prądu przez poetów młodszej generacji (łódzka grupa „Centrum”).

Przygodą z autentyzmem pozostała jednak trwała ślad w powojennej twórczości Czernika. Liczne zbiory poetyckie, że wymienimy niektóre („Siedem noc” — 1948, „Z trzydzie-

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

stu lat” — 1955, „Stary pług” — 1958, „Delta” — 1962, „Autentyki” — 1967), charakteryzują typowo Czernikowską dbałość o komunikatywność wiersza, jego obrazowość i konkretność. Tematyka zaś oscyluje wokół spraw prostych, codziennych, symbolizy człowieka i przyrody.

Czernik—poeta spojrzal na wieś i lud inaczej niż jego poprzednicy. Nie było to spojrzenie społecznika, polityka, moralisty czy kolekcjonera egzotycznego folkloru. Okazał się poetą ziemi, natury i ludu — rdzenia narodu, w którym tkwią siły kulturotwórcze. Osobisty, emocjonalny stosunek Czernika do folkloru różnych regionów, do których rzucał go los włóczęgi, wpłynął niewątpliwie i na inne rodzaje jego twórczości. Twórczość beletrystyczna, zwłaszcza powieści historyczne, stanowi dalszy etap rozwoju świadomości ludowej pisarza, wreszcie przybrać najpełniejszy kształt w pracach folklorystycznych o charakterze popularnonaukowym.

Czernik wkroczył na grunt folklorystyki, uprawianej przez nieliczne grono specjalistów, zaczynając od badania relikwiotów polskiego folkloru („Poezja chłopów polskich” — 1951, zbiór pieśni ludowych okresu pańszczyźnianego), poprzez chrestomatie ludowej twórczości humorystycznej („Humor i satyra ludu polskiego” — 1956), monografię i antologię „Polskiej epiki ludowej” (1958), „Stare złoto” (1962) — studium poświęcone problemom pieśni ludowej, aż po najciekawszą, nowatorską pracę „Trzy zorze dzievicze” (1968) — zbiór esejów o magii ludowej. Jest ona jakby wstępem do powieści naukowej, w której połączył pisarz swe obserwacje i doświadczenia, rzetelną wiedzę ze swymi ogólnymi koncepcjami twórczymi, ujmując całość w formę „szkiców-prób” jak je nazywał, a których był wielkim sermierzem, stwarzając pracę pasjonującą w czytaniu, lekką i głęboką zarazem. Wszystkim zresztą pracom folklorystycznym Czernika przyświecała stała myśl — było nią wprowadzenie ustnej twórczości ludowej do popularnych opracowań, ocalenie jej od zapomnienia i interpretowanie jako zjawiska atrakcyjnego, posiadającego tę samą rangę, co literatura pisana.

Cała twórczość Czernika nacechowana jest piętnem własnej biografii, do której uporczywie powracał na kartach wielu swych utworów i którą sam próbował szkicować w utworach autobiograficznych, takich jak „Dom pod wierzbami” (1960), „Okolica Poetów. Wspomnienia i materiały” (1961) czy w ostatnim esej „Przed ciszą”.

Stanisław Czernik — pełen temperamentu twórca poezji i prozai, aktywny redaktor i pedagog, a nade wszystko zamiłowany badacz folkloru — rzetelnie realizował swe credo, sformułowane w nocie odaturskiej, wydanego już po śmierci pisarza, zbioru poezji „Wiatr od ziemi” (1970): „...Od pierwotnej, podświadomej magii powstał i kształtował się mój (i nie mój) mit Ziemi. Przybierał on coraz to inne zmieniające się postacie, ogarniające stopniowo wszystko, co ziemskie i ludzkie. Począwszy od przyrody i krajobrazu, od polskiej chaty i ojcowskich zajęć na roli, a potem przez nostalgia, oderwanie się od rodzinnego płaskowyzu i poszukiwanie związku z przeszłością rodową i plemienną, aż do najtrudniejszej sprawy — sprawy człowieka, nie najszcześliwszego syna Ziemi. (...) Raczej wolałem ascetyczną samotność człowieka nizin społecznych „podglebia” (...). Z tego podglebia wyniosłem kult słowa i, obciążony takim dziedzictwem, próbowałem — w zastępstwie, ciągle w zastępstwie — mówić w imieniu tych, którzy nie mogli lub nie umieli się wypowiedzieć. Z wiarą, że wyrażam prawdę w ostateczne zwycięstwo Człowieka nad człowiekiem. Bez tego nic”.

VIOLETTA KRAWCZYK

FESTIWAL W SALONIKACH



Siedzą od lewej: Kazimierz Wrzosek, Anna Iżykowska, Leonarda Szajniewicz-Lambrianidis, Małgorzata Zalejska i Tadeusz Kozłowski.

W Salonikach rokrocznie odbywają się festiwale sztuki. „Dimitria Saloniki” zapoczątkowane w XII wieku naszej ery. Imprezy te, organizowane zawsze w październiku podczas trwania międzynarodowych targów przemysłowych, gościły już solistów oraz zespoły orkiestrowe, chórki, teatralne i operowe ze wszystkich niemal stron świata. Łódzki Teatr Wielki wystąpił w Salonikach jako pierwszy teatr z Polski, toteż tym większą odpowiedzialność spoczęła na barkach artystów, którzy 19 października zainaugurowali swe Wyspię „Kniaziem Igorem” Borodina.

Spektakle w jednym miejscowym teatrze o ponad tysiąc miejsc rozpoczynają się zwykle o godzinie 21. Tutaj życie zaczyna się dopiero po zapadnięciu zmroku, toteż przedstawienia kończyły się przeważnie po północy i nie dziwnego, że większość z trzyosobowej grupy łódzkich artystów nie zauważyła nawet trzęsienia ziemi, które dość potężnie targnęło miastem 20 października o godzinie 6.30 rano, i które tak wiele niepokoiło wzniesło w sercach pozostałych w kraju naszych rodzeń.

Premierę „Kniazia Igora” uświetnił swą obecnością przybyły specjalnie z Aten ambasador PRL w Grecji Stanisław Dobrowolski wraz z małżonką. Obok niego w honorowej łozie teatru zasiadła 80-letnia Leonarda Szajniewicz-Lambrianidis — matka polsko-greckiego bohatera II wojny światowej, o którym niedawno powstał w Polsce film zatytułowany „Agent nr 1”. Dom tej wiernej patriotki mieszkającej w Grecji już od 45 lat, odwiedzają tradycyjnie wszyscy przybyli z kraju Polacy, spotykając się tu z niezwykłą gościnnością i serdecznością pani domu i jej dwóch synów — Antoniego i Aleksandra, przyrodnich braci Jerzego, oraz ich obu małżonek — Greczynek świetnie mówiących po polsku, podobnie jak i ich dwie córki. Również i dwudziestoosobowa delegacja łódzkiego Teatru Wielkiego otrzymała zaproszenie do wspaniałej, położonej nad morzem willi rodziny Lambrianidisów, którzy wiernie

towarzyszyli każdemu z siedmiu występów Polaków.

Podczas spektaklu „Kniazia Igora” pierwsze gromkie brawa składowały doskonale wykonanie uwertury przez orkiestrę prowadzoną doświadczoną ręką kierownika muzycznego przedstawienia — doktora Zygmunta Latońskiego. Potem brawa przy otwartej kurtynie rozlegały się niemal co chwilę; zabrzmięły po świetnych partiach chóralskich, po ariach Haliny Romanowskiej, Zdzisława Krzywickiego, Romana Werlińskiego, gościnnie występującego z naszym teatrem Andrzeja Saciuka w niezapomnianej w jego wykonaniu partii Kończaka i wreszcie dziękowały równie znakomitemu jak podczas łódzkiej premiery Władysławowi Malczewskiemu w tytułowej roli.

Druga obsada „Kniazia Igora” również nie miała słabych punktów. Największe słowa uznania po spektaklu usłyszeliśmy pod adresem Elżbiety Nizioł, Jerzego Jadczyka, Izabeli Kobus, Jana Kunetta, a także świetnego aktorsko reżysera tego przedstawienia Antoniego Majaka.

Balet, który Grecy ponoszą wrecz uwielbiają, zebrał potężne porcje braw za efektowne tańce połowielkie; szkoda, że ciasnota sceny i kanatu orkiestrowego uniemożliwiła chórowi udział w akcie połowielkim.

Trudno opisać owację jaką publiczność zgromadziła naszym artystom; tutejsi dziennikarze stwierdzili, że nigdy dotychczas nie widzieli w tym teatrze aby cała sala na stojąco przez prawie kwadrans dziękowała wykonawcom tak burzliwymi brawami i pełnymi entuzjazmu okrzykami.

Tak więc — stari zespołu łódzkiego Teatru Wielkiego przeszedł wszelkie oczekiwania i to zarówno nasze jak i greckiego impresaria pana Critasa, który dopiero tego wieczoru zrozumiał, jak znakomitym dla jego interesów przedstawieniem było zaproszenie na festiwal łódzkich artystów.

Fama o tak znakomitym przyjęciu „Kniazia Igora” roznieśli się błyskawicznie i od tego momentu co wieczór liczni mieszkańcy Salonik połowali przed teatrem na wejściówkę, które dawają prawo zajęcia stojącego miejsca; bilety siedzące rozprzedano na długo przed naszym przyjazdem.

Przed grecką prapremierą „Haliki” mieliśmy wszystkie spora tremę: od kil-

ku już dni obserwowaliśmy sposób w jaki traktuje się kobiety w tym kraju. Do sporadycznych wyjątków należą wypadki zajmowania przez kobiety samodzielnych stanowisk zawodowych, kobiety nie pokazują się w kawiarniach, rzadko w kinach, a w restauracjach nigdy nie bywają obsłużone przed towarzyszącymi im mężczyznami. Czyż więc tragedia skrzywdzonej przez mężczyznę Haliki może znaleźć zrozumienie u tutejszego widza, który w dodatku z braku własnej opery w Salonikach nie ma tradycji w obcowaniu na oczach z operową sztuką?

Istotnie, w warstwie libretta obawy nasze potwierdziły się, oirzymaliśmy bowiem mnóstwo pytań typu: co się takiego wielkiego stało, skąd aż taka tragedia, czy my czasem nie przesadzamy, itd, itd. Natomiast niezwykle zainteresowanie wzbudziła muzyka Stanisława Moniuszki. Po przedstawieniu do dyrektora Bogusława Madeya — dyrygenta i kierownika muzycznego „Haliki”, oraz autora nowej orkiestracji partytury tej opery — zgłosił się jeden z ponoć najznakomitszych krytyków ateńskich George Leotsakos, specjalnie przybyły ze stolicy na występ Polaków w nieznanym mu operze. Mimo, iż raz tylko słyszał ten utwór — dokonał błyskawicznej analizy partytury, cytował z pamięci wiele tematów muzycznych, a na koniec poprosił o dostarczenie mu wyciągu fortepianowego „Haliki”. Przywrócił natomiast do Verdię i niepomnie dziwił się, że nasza opera narodowa, mimo takich walorów, nie zdobyła dotychczas międzynarodowej popularności równiej dziełom znakomitego Włocha.

Największe słowa uznania Leotsakos przeznaczył dla prowadzącego spektakl Bogusława Madeya i łódzkiej orkiestry operowej, nazwanej przez greckiego krytyka prawdziwym objawieniem „Dimitria Saloniki”.

Halina Romanowska śpiewała Halke tak pięknie i z takim blaskiem jak jeszcze nigdy dotąd, podobnie jak i partnerująca jej w partii Jonka Tadeusz Kopski.

Po Mazurze i Tańcach góralskich — w obu przedstawieniach następowala długa przerwa spowodowana potężną owacją dla rewiacyjnie tańczącego baletu, który podczas ostatnich trzech dni pobytu w Grecji już samodzielnie królował na scenie występując w pelnspektaklowym, zupełnie nie znanym doład w Salonikach baletcie „Córka ze strzeżoną”. Dopiero tutaj mogliśmy się przekonać jak świetną tancerką jest Małgorzata Zalejska, z jaką maestrią potrafi wykonać najtrudniejsze ewolucje Kazimierz Wrzosek. Entuzjastycznie oklaskiwano też przekomicznego Zygmunta Galocha, Zbigniewa Sobisa, Tomasza Gołębiowskiego, Stefana Piłkowskiego i wszystkich pozostałych kilkudziesięciu tancerzy. Mimo znacznego zmęczenia orkiestra grała jak we wspaniałym transie, duża to zasługa młodego 25-letniego dyrygenta Tadeusza Kozłowskiego, który tu w Grecji przeżył swój prawdziwy triumf.

Trzy miejscowe dzienniki: „Grecka Północ”, „Macedonia” i „Saloniki” zamieściły po kilka recenzji z występów łodzian; wszystkie utrzymane w tonie wrecz entuzjastycznym. Tak więc pierwsza wizyta polskiego teatru w greckich Salonikach zakończyła się wielkim sukcesem łódzkiego zespołu, który pięknie i godnie reprezentował polską sztukę za granicą. I tylko żałować należy, że przed podpisaniem zagranicznego kontraktu nie pomyślano o choćby jednym dniu odpoczynku dla nieprzerwanie pracującej orkiestry i tancerzy. Codziennie — przedstawienie, a przecież bywały i próby poranne i leżące dla baletu na dwie godziny przed spektaklem. Wynik — muzyków grających na instrumentach dętych co dzień ubywało wskutek wrecz poranionych ust, a tancerki swoje popuchnięte stopy z trudem wbiły w baletki.

ANNA IŻYKOWSKA

TEATR

Minnie. Abbie — Rogacka przestaje słuchać Efrima. Siedzi zaciskając kurczowo dłoń na lekko rozstawionych udach. Ciało wyraża pożądanie, na twarzy rodzi się już wtedy uśmiech. To, które poprzez scenę w salonie zwyciężyła sama. Usunie czy też zrównoważy racjonalne dążenie materialnego zdołowania i posiadania na rzecz miłości, będącej przeciwieństwem sytuacji osamotnienia starego Cabota. I kiedy gasnie to kierowane rozumem pożądanie, Rogacka zmienia postać Abbie. To już nie jest Abbie stanowca. Uczucie miesza jej sztyki, uczucie, którego nie jest w stanie zrozumieć, a przynajmniej nie w pełni. Zatrzymanie Ebena przy sobie nie jest więc dyktowane rozumem, lecz obłądnym strachem popychającym do obłądnego czynu. Aktorka gra jakby ciszej, subtelniej, ale z większym napięciem. Modułacja postaci Abbie w obrębie dwóch aktów, wywala na ukazanie postaci Cabota. Stary i samotny wobec postąpania, stary i samotny wobec miłości i młodości. Sytuacja Ebena i Abbie najlepiej motywuje zmezczenie Cabota, chociaż on sam podkreśla często swoją siłę. Trzeci z tego układu — Eben krowany jest zbyt jednostronnie. Eben zda się być ciągle dzieckiem, nierozwinięty, związany z matką. Bronisław Wrocławski podkreśla tę młodzieńczość. Sądzę, że aktor zarzuca kreacji ekspanując swoją prywatną młodość. Miałoby być to autentyczne. Jest tylko niby autentyczne. Eben jest dzieckiem — to nawet poszerza tę postać, odnosząc ją do psychoanalitycznej koncepcji mitu Edyapa. Eben ma prawo jednak stawać się dorosłym. Na scenie Teatru Powszechnego dorósł dopiero po śmierci dziecka. Późno, bo nawet biegać po szeryfa zachowywał nieco jak mały donosićiel, a nie mężczyzna świadom praw nadania życia i Prawa, które je chroni. Eben już od chwili „oderwania” go od matki przez Abbie i dalej od aktu nadania życia

WIĘZY W WIĄZACH

wycuciem granic tego co robi, potrafi się utrzc. Skłupa budowanie postaci Abbie — szczególnie na tych sytuacjach kiedy w pobliżu znajduje się Eben. Tworzy wokół niego jakby jakąś całość, nie ma otwiera się przed biologicznie silnym mężczyzną. Bronisław Wrocławski, który od początku spektaklu wywalał infantylne cechy Ebena, w miarę narastania aktywności Abbie Rogackiej, staje się coraz bardziej osaczony, aż do odruchów bezradnego dziecka na scenie odbywającej się w salonie matki. Narastanie kontaktu między dwójgim młodych współdziała, w myśl zasady sprzeczności wzrośnogo, w charakterystycznym i konstruowaniu postaci Efrima Cabota. Ryszard Sobolewski gra go również sugestywnie, ale jakby oszczędnie. Mówi ostrym głosem, jest skupiony, świadom trudnej przeszłości w życiu tej postaci, lekko zgarbiony, stapa ciężko. Cabot Sobolewski nie jest stary, stary i samotny staje się dopiero w korelacji z dwójgim młodych. Wzajemne stosunki i uwarunkowania między trójką aktorów są w inscenizacji „Pożądania” przykładem zespołowego kreowania postaci. Chociaż spod znaku czysto racjonalnego planu założenia gniazda i zabezpieczenia dominującej w nim pozycji jest gra Rogackiej — Abbie w I akcie, to aktorka nie demonizuje postaci w stronę kobiety-samicy. Zwiastuje już w I akcie zmianę, jaka dokona się w Abbie na czas aktu II-go. Abbie jest bowiem od początku również i młoda dziewczyna, reprezentująca prawa swojego wieku i ulegającą im. Efrim w pewnej chwili zaczyna opowiadać jej o sobie. Eben wraca od

może zacząć przeobrażać się w mężczyznę. Brak zmiany Ebena osłabia zmianę Abbie, osłabia, co gorzej, kontakt z Cabotem. Cabot pozostaje w tej sytuacji tylko ojcem niesforemego syna, przekonany (i słusznie) o jego niedorodności. Przekonanie to, potęgowałoby tragizm sytuacji starego człowieka, gdyby Eben dorósł, zagrażał pozycji Cabota w mikroświecie farmy czy — warstwy symbolicznej — raju. Że takie doroszenie Ebena było w założeniu reżysera, świadczy postawa Ebena w chwili przybycia szeryfa. Zmiana w mężczyźnie dokonuje się, w moim odczuciu, zbyt późno. I wątpię można w prawdziwość postawionej chłopaka. Postawień, które, w wymiarze symbolicznym, winny zabrzmić trochę jak apostołskie słowa ojca, czy jak wyznanie winy Adama. W sumie jednak, dzięki kreacji Małgorzaty Rogackiej i Ryszarda Sobolewskiego, wydobyl Jerzy Hoffmann z dramatu O'Neill tragedię Cabota i tragedię Abbie wraz z Ebenem. Tragedię starości i samotności jak i tragedię młodości. Tragedię z winą niezawinioną. I wreszcie ukazał również niedoskonałość świata zbudowanego i budującego się.

PIOTR SŁOWIKOWSKI

Eugene O'Neill — „Pożądanie w cieniu wiazów” Jerzy Hoffmann — reżyseria. Iwona Zaborowska — scenografia, Teatr Powszechny w Łodzi — 27.X.1974 r.

POLSKA SCENA za OLZĄ

Obok mostu na Olzie w Cieszynie, gdzie po obu stronach zapor granicznych gromadzą się długie kolumny samochodów odczekujących na odprawę, jest drugi most przeznaczony dla tzw. małego ruchu granicznego. Tutaj codziennie przekraczają w obie strony granic setki obywateli polskich i czechosłowackich, mieszkańców polskiego i czeskiego Cieszyna. W wieloletniej przeszłości, ale także samochodami, motocyklami i rowerami.

Niektórzy odbywają te drogi każdego dnia dwukrotnie. Chociażby Polacy zatrudnieni w zakładach przemysłowych po stronie czeskiej, a mieszkający po naszej stronie.

Formalności graniczne przebiegają tu błyskawicznie. Jeden moment i wraz z grupą polskich krytyków teatralnych mijam most i jestem już na terenie Czechosłowacji. Tuż przy zejściu z mostu czeka na nas mała grupa kobiet i mężczyzn — to kierownictwo Sceny Polskiej. Serdecznie uściski dion i już autokar teatru wiezie nas do gmachu Těszninskeho Divadla (Teatr Cieszyński).

Těszninske Divadlo posiada dwie sceny: czeską i polską. Ta ostatnia

działa od wielu lat, występując zarówno w pięknej, nowoczesnej siedzibie teatru, jak i w terenie, objeżdżając dwa sąsiednie powiaty, Karwiną i Frydek-Mistek, gdzie znajdują się największe skupiska polskiej mniejszości narodowej.

Scena Polska jest więc składową częścią państwowego teatru, utrzymanego przez władze czechosłowackie. Kierownikiem Sceny Polskiej jest obecnie aktor Kazimierz Siedlaczek, Polak, obywatel CSRS. Aktorzy to w większości także obywatele czechosłowacki, ale wielu z nich jest absolwentami polskich szkół teatralnych, zwłaszcza krakowskiej. Są jednak i tacy, którzy mieszkają w Polsce i dojeżdżają do pracy w teatrze. SP angażuje również reżyserów z Polski, albo do poszczególnych przedstawień, albo na dłuższe kontrakty (obecnie etatowym reżyserem SP jest np. Stefania Domańska, dobrze znana w naszym mieście jako były dyrektor Teatru Ziemi Łódzkiej).

SP przygotowuje co roku 8 premier i daje przeciętnie ok. 200 przedstawień w 25 miejscowościach, takich jak Karwiną, Trzyniec, Sucha Górna i Dolna, Jablonków i in. W przyszłym roku SP obchodzić będzie 25-lecie, pracowite 25-lecie w służbie kultury polskiej za Olzą.

O poziomie artystycznym SP świadczyć może fakt, że bierze ona udział jako pełnoprawny uczestnik w czechosłowackich festiwalach teatralnych. W 1972 r. zdobyła III nagrodę na festiwalu sztuk muzycznych w Olomuńcu, wystawiając musical „Kafkawał w Warszawie” Danielewskiego. Również III nagrodę przyniosł SP udział w festiwalu sztuk zaangażowanych okręgu północno-morawskiego. Wystawiono wówczas „Walentego i Walentynę” Roszczina w reżyserii Alojzego Nowaka (obecny dyrektor teatru w Bielsku-Białej).

O repertuarze SP informuje nas jej kierownik literacki — Wanda Cejnar:

— Nasi widzowie to w większości robotnicy, zwłaszcza górnicy zagłębia karwinińskiego. Wszyscy mówią na co dzień po polsku, nie ma więc żadnych problemów typu językowego. Natomiast uwzględnić musimy poziom kulturalny i gusty naszej publiczności. Dlatego sięgamy głównie po sztuki komunikatywne, rozrywkowe, pisane w konwencji realistycznej. Oficjalnie sięgamy do klasyki polskiej, ale nie pomijamy i dramaturgi współczesnej. Nie ograniczamy się, oczywiście, do sztuk polskich. Dla naszych widzów Scena Polska jest jedynym teatrem. Pokazujemy więc klasyczne światowe i sztuki współczesne w tym także przełożone na polski sztuk czechosłowackie. Na 30-lecie wyzwolenia Czechosłowacji w 1975 r. planujemy wystawienie „Matki” Karola Czapka.

W najbliższych planach SP znajdują się „Lato w Nohant” Iwaszkiewicza, „Romans z wodewilu” Turskiego-Krzemińskiego (reżyseruje S. Domańska), „Wieczór sylwestrowy” Bałłubiego i Riazanowa (reż. Witold Rybicki), „Gbur” Goldoniego (reżyser czechosłowacki: Jaroslav Horan), „Mieszczanin szlachcicem” Moliere’a, „Pojedynek” kirgiskiego autora Mara Bardżijewa i bułgarską sztukę „Profesja dla aniołów” Dragomira Asenowa. Zamierzamy też wystawić „Trędowną” Mniszkówny w reżyserii Domańskiej.

Po wycieczce w Těszninskim Divadle jedziemy wraz z zespołem SP do miejscowości Stonawa, gdzie w tamtejszym domu ludowym grana jest sztuka z bieżącego repertuaru „Podwójna gra” Roberta Thomasa. Jest to

kryminal, rzecz zgrabnie napisana, lecz dość blaha. Nasi gospodarze żalują, że nie trafiliśmy na którąś ze sztuk, z którymi wiąże większe ambientę, jak „Kopernik” Brandstaettera, „Most” Szaniawskiego, czy prapremiera polska czechosłowackiej sztuki Józefa Kajetana Tyla „Krwawy sąd albo Kutnogórscy hawerze”.

Ale i przedstawienie „Podwójnej gry” daje nam pojęcie o atmosferze, w jakiej pracuje SP. Sala domu ludowego wypełnia się polską ludnością, przychodzą młodzi i starzy, reagują żywo, nie skąpiąc aktorom dowodów uznania. Po przedstawieniu trwają jeszcze rozmowy z widzami, po czym autokar teatralny rozwodzi widzów do sąsiednich miejscowości, w których mieszkają.

Krótki kontakt ze Sceną Polską w Czeskim Cieszynie nie daje podstaw do pogłębianych rozważań. Zetknęliśmy się jednak z przykładem bratnich, sąsiedzkich stosunków między dwoma narodami, szanującymi wzajemnie swój dorobek kulturalny i potrzebę w tym zakresie mniejszości narodowych.

I znowu uściski rąk przy moście na Olzie i życzenia dla współpracowników Sceny Polskiej, by nadal równie skutecznie prowadzili swą podległą robotę.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

SUKCES ŁÓDZKICH NAUKOWCÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

cież płaci za to nie tylko wynalazca. Społeczne koszty takiego niepowodzenia są z reguły jeszcze wyższe. To już nie tylko problem zmarnowanego kapitału entuzjazmu. To konkretne złośliwości, albo nawet twarda waluta, w dziesiątkach i setkach tysięcy.

Trzeba być wyjątkowym szczęściarzem, aby ominąć wszystkie rafy, jakie cychają na nieświadomego kłopotów wynalazcę. Do takich ludzi, w czepku urodzonych, zdaje się należeć doc. Zdzisław Haś z Politechniki Łódzkiej, współautor zgłoszenia patentowego nr 148932. Nosi ono niewiele mówiący tytuł: „Sposób obróbki cieplno-chemicznej części maszyn stalowych i żeliwnych”, ale okazało się rewelacją w skali światowej. Na tyle istotną, że technologia azotonasiarczenia gazowego oraz skonstruowanie urządzenia do jej realizacji zostały wpisane do Złotej Księgi dokonania polskiej nauki. Pod datą 6 października 1973 roku czytamy tam przecięż:

„Osiągnięcie polega na zastosowaniu mieszaniny amoniaku i par siarki do obróbki cieplno-chemicznej części maszyn stalowych i żeliwnych. Azotonasiarczenie obniża współczynnik tarcia, eliminuje zacieranie oraz zmniejsza zużycie współpracujących elementów. Jest procesem bezpiecznym dla obsługi i środowiska naturalnego.

Azotonasiarczenie gazowe zastępuje dotychczas stosowane obróbki części maszyn w wysokotoksykacyjnych solach cyankowych. Prace podjęto z inicjatywy kierownika zespołu doc. dr h. inż. Zdzisława Haśa.

I jeszcze jedna, istotna, bo będąca świadectwem powodzenia informacja:

„Azotonasiarczenie wdrażają Zakłady Przemysłu Maszynowego i Motoryzacyjnego — Fabryka Samochodów Cieżarowych im. F. Dzierżyńskiego w Starachowicach, Fabryka Maszyn Jedwabniczych MAJED w Łodzi, Fabryka Maszyn Budowlanych HYDROMA w Szczecinie, Widzowskie Zakłady Maszyn Włókienniczych WIFAMA w Łodzi, Zakłady Motoryzacyjne w Głownie i inne”.

Osiągnięcie, o którym tutaj mowa, związane jest z trzema nazwiskami. Obok doc. Haśa figurują w Złotej Księdze jego współpracownicy: mgr inż. Jerzy Gramsz oraz mgr inż. Wojciech Jarosz, podobnie jak kierownik zespołu absolwenci Politechniki Łódzkiej. Ludzie, dodajmy, młodzi, bo chyba tylko tacy mogą się poważnie na skrajne ryzyko. Zespół Obróbki Ciepłej i Powierzchniowej działający w ramach Instytutu Metaloznawstwa i Technologii Metali powstał przecięż dopiero trzy lata temu, wprowadzając się do pomieszczeń opuszczonych przez pracownię fotograficzną i rentgenowską, laboratorium trzeba więc było zorganizować od podstaw.

Zaczęto od wyburzenia ścian działowych, aby zrobić miejsce dla aparatów i urządzeń, dzięki którym studenci mogą się zaznajomić z obróbką metali w atmosferach ochronnych, poznają proces nawęglania gazowego, a także obróbki kapielowe łącznie z cy-

janowaniem i cyjanonasiarczeniem. Na tym się zresztą nie kończy. Laboratorium Zespołu dysponuje aparaturą do azotowania gazowego i jonizacyjnego, azotonasiarczenia i węgloazotowania, można w nim także przeprowadzać hartowanie wszelkich rodzajów. Chodzi w tym wszystkim o zapoznanie studentów z najnowocześniejszymi technologiami łącznie z azotonasiarczeniem, które opracował doc. Haś i jego współpracownicy. Zajęcia prowadzone w ramach inżynierii materiałowej pozwalają więc na wykształcenie specjalistów, posiadających wiedzę inżynierską, ale legitymujących się jednocześnie szerokimi wiadomościami z podstawowych dziedzin wiedzy fizycznej i chemicznej. Tacy fachowcy zdolni są tworzyć nowe materiały i nowe technologie, szczególnie poszukiwane przez przemysł.

Do niedawna pokutował zresztą mit inżyniera-konstruktora nie tylko na uczelni. Technolog posiadający taki sam dyplom politechniki z reguły otrzymywał niższe stawki. Przesady utrwalone przez tradycję i podtrzymywane przez modę nie przyczyniły się na pewno do rozwoju naszej myśli technicznej. I jeśli dziś odchodzi się od tych niedobrych praktyk, jest to zasługa takich ludzi jak doc. Haś i zespół jego współpracowników.

Doc. Zdzisław Haś ma dziś czterdzieści cztery lata, wiek, który dla romantyków był zapowiedzią, a dla niego jest spełnieniem. Broni się przed natręctwem dziennikarza, nie chce rozgłosu. Ale człowiek przy którym jest sukces, rozgłosu uniknąć nie może. Więc Haś zgadza się w końcu na rozmowę ze mną.

Skromny gabinet, do którego wchodzi się wprost z laboratorium. Na ścianie modele pojedynczych atomów i cząstek chemicznych, żółte linie wiązań atomowych mimo woli przyciągają wzrok wprowadzając od razu przybysza w sprawy, o które dopiero będzie pytał i które nie od razu rozumie. Niżej, na specjalnej tablicy fotograficznej zębatach kół, tulejkach, tłokach, sprężynach. Te same detale spoczywają na wąskiej półce. Mają charakterystyczny, matowy nałot: poddane zostały procesowi azotonasiarczenia gazowego.

Jakie to ma znaczenie? Doc. Haś mówi mi o fizyce ciała stałego. Nie jest to monotony, beznamiętny wykład. Tłumacząc mi problemy, z którymi zetknął się podczas swych badań, doc. Haś ożywia się, jakby musiał je teraz rozwiązywać po raz drugi. Znam ten błysk oczu znamionujący ludzi z pasją, wiecznych poszukiwaczy twórczej przemyśli.

Ale Haś, jakby czytając w moich myślach, mówi już spokojniejszym tonem:

— Trzeba jednak panu także wiedzieć, że nauka stała się gałęzią gospodarki. I, to nie slogan, dającą największe korzyści.

Na potwierdzenie tych słów sięga po skoroszyt, w którym przechowuje opinie zakładów korzystających już z jego wynalazku. Obok słów uznania dla uczonych, w każdym z tych listów znajdują się suche, choć znaczące liczby, na temat efektów ekonomicznych metody azotonasiarczenia gazowego w przemyśle. Miliony i miliony oszczędności. Bo ten sposób obróbki metali znacznie zmniejsza współczynnik tarcia i tym samym

zwiększa moc maszyny np. pompy hydraulicznej czy samochodowego silnika. Przedłuża także ich żywot dzięki kilkukrotnemu zmniejszeniu zużycia współpracujących części i wyeliminowaniu zacierania. A przy tym wszystkim czyni je odporniejszymi na korozję.

Przypomniały mi się natychmiast badania Dawida Séchara tak sugerownie opisane przez Balzaca w „Cierpieniach wynalazcy” i spytałem: — Jak pan do tego doszedł? — Jak?

Doc. Haś wzrusza ramionami i wygodnie prostuje się w fotelu. Przez twarz przebiega mu uśmiech, coś wspomina. I nagle mówi:

— Urodziłem się w Koniecpolu i tam, nie bez wysiłku, ukończyłem gimnazjum. Nie, nie chodzi o kłopoty z nauką, tylko widzi pan, zarobki ojca były małe, pracował jako robotnik budowlany przy wznoszeniu fabryki płyt piśmniowych, w której później dostał etat. A było nas w domu czworo rodzeństwa.

Patrzę na inż. Gramsz, współtwórcę sukcesu doc. Haśa. Jest zasłuchany, bo choć w Zakładzie panują koleżeńskie stosunki, nie często chyba ma okazję wysłuchać tak osobistych zwierzeń szefa. Chodzi przecięż o doświadczenia, które dziś, w trzydzieści lat po wojnie, obce są pokoleniu wstępujących naukowców.

Haś mówi wolno, jakby rozspływał węzeł pamięci. W jego wspomnieniach pojawia się wioska Koble Wielkie, siedziba liceum z bursą. To wiejskie liceum zapewniało uczniowi stypendium, najważniejszą dla Haśa rzecz w tym niebogatym 1948 roku, ale również dwu wspaniałych nauczycieli prof. Jana Słowińskiego i prof. Edwarda Czernińskiego.

W dwa lata później matura i decyzja podjęcia studiów. Ale kiedy przyjechał do Łodzi żaden z przedmiotów nie umiał mu wskazać adresu politechniki. Wreszcie dowiedział się, że to na Gdańskiej i przeszedł całą ulicę, aby wreszcie natknąć się na po-fabryczne zabudowania uczelni. Wszedł do gmachu z trzęsą, ale pan Pater, sekretarz komisji rekrutacyjnej, obejrzawszy jego świadectwo, powiedział jedno tylko zdanie: „Takich nam potrzeba”.

Studia przebrnął gładko, chociaż stypendium starczało ledwie na jedzenie i zimą musiał chodzić w drelichowym płaszczu. Kolegów z roku stać było na więcej, ale nie czuł się pokrzywdzony. Nawet wówczas, gdy jako absolwent zaczął zarabiać 820 zł. Został wyróżniony, zaproponowano mu przecięż pracę na uczelni. Z głową nabitą wiedzą szybko zrozumiał, że jeśli chce naprawdę dokonać czegoś w nauce, trzeba zająć się taką problematyką, którą można rozwiązać na miarę posiadanej aparatury. Dziś nie wystarczy bowiem sama myśl: proces badawczy wymaga odpowiednich urządzeń technicznych. Dziś bardziej niż kiedykolwiek, ale już dwadzieścia lat temu brak aparatury niweczył nie jeden wysiłek. Haś nie chciał pracować nad czymś, co by z góry skazane zostało na niepowodzenie, a w najlepszym wypadku trafiło na zakurzone półki naukowych archiwów. I właśnie wtedy zaczął inte-

resować się problematyką zużycia maszyn i ich części, zaczął głowiąć się nad przedłużeniem ich życia. Wymagało to poznania dodatkowych dziedzin wiedzy: metaloznawstwa, chemii, fizyki. Haś chodził więc na zebrania naukowe do fizyków, dyskutował z kolegą dr Sugerem, który utwierdzał go w poglądach na wiedzę chemiczną

Z wykładów prof. Burnata zapamiętał sobie, że Amerykanie wynaleźli suchy smar: dwusiarek molibdenu, znajdujący zastosowanie w przemyśle lotniczym. Przy wysokich pułapach lotu ten nowy smar okazywał się niezastąpiony. Haś przystąpił do doktoratu na temat: „Badania nad własnościami smarującymi syntetycznego i naturalnego dwusiarczku molibdenu oraz nad wpływem wolframu w stalach szybkołatających na współczynnik tarcia po cyjanonasiarczeniu”. Pracę tę wykonał pod kierunkiem prof. Z. Wendorffa.

Abym zbadać własności dwusiarczku molibdenu trzeba go było najpierw uzyskać. Hasiowi udało się to, jako pierwszemu w Polsce, otrzymał nawet patent na swoją metodę.

Oglądam sinawy prosek, który jest tak śliski, że wymyka się z palców. Potem myję dlonie, a Haś wyjaśnia mi proces cyjanonasiarczenia zastosowany po raz pierwszy przez Francuzów na początku lat pięćdziesiątych, znany jako metoda „Sulfiniz”. Byłaby niezła, gdyby nie trujące właściwości soli cyjanowych, co czyni cały proces wyjątkowo niebezpiecznym i kłopotliwym dla sterujących nim ludzi. Gdyby się udało osiągnąć warstwę naazotowaną z wtrąceniami siarczków żelaza, eliminując wysoko toksyczne cyjanki? Ta myśl zrodziła się u Haśa już w roku 1959 podczas obrony pracy doktorskiej. Ale realizację projektu musiał odłożyć na długie lata. Aby uzyskać wyższy stopień naukowy musiał najpierw zrobić habilitację. A nie pisane prawa w Polsce, niezbyt chyba życiowe, mówią wyraźnie, że praca habilitacyjna nie może być kontynuacją doktorskiej. Trzeba było zająć się zupełnie czym innym. Haś zaczął więc pracować nad procesem tarcia w obróbce cieplnej pisząc rozprawę pt.: „Badania efektu Rebindera i współczynnika tarcia przy przeróbce plastycznej metalu”. Udowodnił w niej, że taki efekt nie istnieje, a przy tym opracował własną metodę obliczania współczynnika tarcia, co wymagało benedyktyńskiej wprost cierpliwości. Okazało się przy tym, że dotąd analiza procesu tarcia przeprowadzana była w oparciu o wiele niesłusznych założeń. Wykazanie ich bezpodstawności uważa doc. dr h. inż. Haś za swoje kluczowe osiągnięcie naukowe. Nie było to więc lata zmarnowane, choć odsunęły pracę nad wynalazkiem, który przyniósł naukowcowi sławę.

Wiedzamy laboratorium przeciskają się pomiędzy stolami, na których stoją aparaty. Zakupione z importu za dolary przyznane przez ministra. I krajowe, przystosowane przez pracowników Zakładu do prowadzonych tu specjalistycznych badań. Ta lokalowa ciasnota na pewno nie ułatwia pracy. A przecięż przybywa także pracowników, badania nabierają rozmachu. Haś prosił o dwa etaty, minister przyznał pięć. Przysięga się tu każdy mózg i każde ręce, ale gdzie tych ludzi pomieścić? Technicy — Stanisław Baczyński i Jerzy Cyndler przywykli już do tych warunków, ale nowi pracownicy dzielwią się, że tak poważne odkrycie możliwe było mimo tych przeszkód. Cyndler, studenta IV roku Politechniki nazywają tutaj „złotą rączką”. Podobno nie ma rzeczy, której nie potrafiłby wykonać. Ma swój wkład w budowę urządzenia do azotonasiarczenia gazowego, które jest wciąż udoskonalane. Widząc jak obaj technicy moziła się nad umieszczeniem metalowej retorty w specjalnym piecu, inż. Gramsz uśmiecha się tylko.

— Pierwsze próby robiliśmy przy pomocy szklanej retorty — powie później.

Trudno pominąć w odkryciu rolę mgr inż. Wojciecha Jarosza, który jest chwilowo nieobecny. Wyjechał w podróż służbową. Jarosz i Gramsz są kolegami. Można nawet powiedzieć, że w czasie studiów pracowali nad podobnymi zagadnieniami, które wykorzystali w zakładzie doc. Haśa.

Kłopoty? Gramsz zastanawia się. Może były nietypowe. Najtrudniej było zdobywać różne materiały niezbędne do prowadzenia doświadczeń. Gdy potrzebne jest na przykład 5 kg żelaza armco, trzeba kupować pół tony. A ileż kłopotów sprawiło zdobycie kwasoodpornej stali. Trzeba posiadać specjalny instykt, aby trafić bezpośrednio do wytwórcy. Załatwienie dostawy przez centralę trwa miesiącami, więc jeździ się po Polsce i szuka szczęścia.

— Teraz — marszczy twarz Gramsz — znowu zaczynają się kłopoty, bo kończą się materiały. Takie podróże ogromnie rozpraszają, opóźniają pracę nad doktoratem.

Ale jest dobrej myśli. Uczestniczy w sukcesie, na który złożył się wysiłek całego zespołu. Nie chciałby tylko być maniakami, którzy pokonują przeszkody wbrew wszystkiemu, wbrew wszystkim. I szukać nagrody za swe trudy tylko we własnej pracy.



„ZA LINIĄ AUTOWĄ”

Artykuły Bogdy Madej o LKS spotykały się z właściwym zainteresowaniem Czytelników, ale wydaje mi się, że ani artykuły, nawet najbardziej celne, ani zmiany personalne, jakie przeprowadzono w zarządzie LKS nie zmieniają sytuacji piłkarskiej drużyny tego klubu. Zmienić zarząd — powiedział ktoś rozsądnie — można bardzo szybko, ale zmienić całą drużynę, na to trzeba będzie czasu. I tak to wygląda, choćby po ostatniej kłęsce z Szombierkami.

Zastanawia mnie jednak inna sprawa. Ogólnie było od dawna wiadomo, że z piłkarzami LKS nie jest najlepiej. Wystarczyło pójść tylko na mecz, aby zobaczyć, jak źle jest z piłką nożną w tej drużynie. Dla tysięcy kibiców nie było to tajemnicą. Żadna jednak z łódzkich gazet codziennych nie spróbowała podjąć problemu. W sprawozdaniach z kolejnych porażek LKS uspokajano kibiców namawiając ich do spokojnego oczekiwania na sukces. Myślę, że taka postawa dziennikarzy sportowych łódzkiej prasy nie jest do przyjęcia, że ich obowiązkiem jest wskazywanie również słabych miejsc w różnych dziedzinach życia społecznego, a więc i sportu. Społeczną rolę prasy należy rozumieć jako sygnalizowanie władzom spraw konfliktowych i zapalnych. I tej roli prasa nie spełnia. „Odgłosy” też — zbyt późno moim zdaniem — zajęły się sprawą piłki nożnej. Sądzę, że z tej sprawy wszyscy wyciągnąć należy wnioski.

LKS-owi życzę utrzymania drużyny piłkarskiej w I lidze, choć będzie to bardzo trudne.

ADAM RYCZEK
(Łódź)

PASJONUJĄCE SPRAWY

Ciekaw jestem dlaczego „Odgłosy” zaniechały bardzo ciekawych publikacji o problemach kosmosu, telepatii itp. Pamiętam, że przed paroma miesiącami publikacji na ten temat było u was sporo. Byliście właściwie pierwszym czasopiśmie w Polsce, które podjęło te sprawy. Teraz o gościach z Kosmosu, parapsychologii i tajemniczych wykopalskach rozpisały się: „Kultura”, „Literatura”, „Przekrój” — a wy zrezygnowaliście.

Niedawno nawet telewizja włączyła się do tej fali publikacji, dając znakomity film Daninkena „Wspomnienia z przeszłości”. Przedstawiciel oficjalnej nauki, wybitny archeolog, prof. Michałowski, nie potrafił na pytania red. Rowieckiego odpowiedzieć nie ponadto, że są to sprawy nie zbadane i że za wcześnie jest zajmować jakiekolwiek stanowisko. Oto typowe stanowisko oficjalnej nauki.

Dlatego więc przynajmniej publicyści nie podejmują tych spraw, tak wstydliwie przemilczanych lub lekceważonych przez uczonych. Są to bowiem sprawy pasjonujące, a kto wie, czy nie kluczowe dla naszej ludzkiej egzystencji.

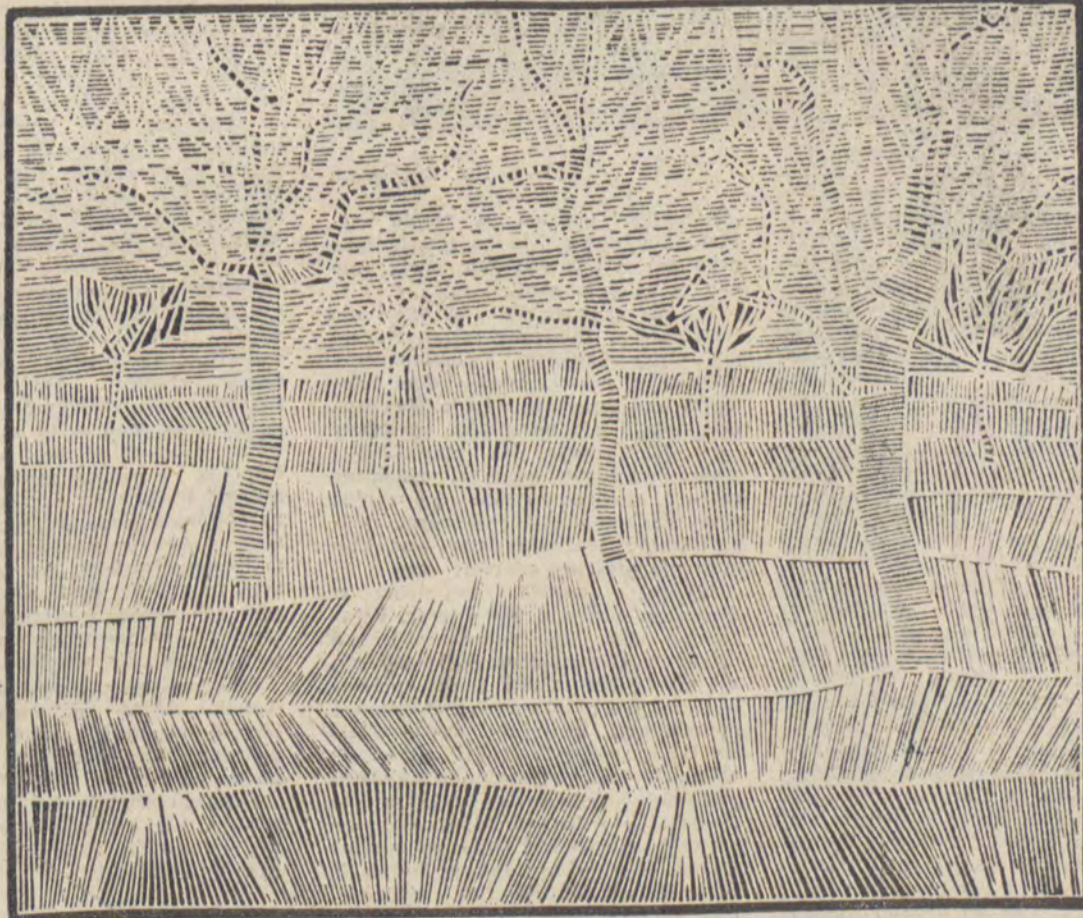
ANDRZEJ ZALEWSKI
(Łódź)

„ZA LINIĄ AUTOWĄ”

Nie mogę zrozumieć dlaczego w „Odgłosach” o piłce nożnej pisze kobieta. Czy już nie macie jakiegokolwiek redaktora mężczyzny? Przecięż wiadomo, że kobiety mało się znają na sporcie, a już szczególnie nie potrafią zrozumieć specyfiki futbolu.

Najgorsze jest to, że p. Bogda Madej ma w gruncie rzeczy rację, ale — niestety — jest to racja kobiety.

ALEKSANDER LENKIEWICZ
(Łódź)



Henryk Płociennik — grafika

KONRAD FREJDLICh

KORESPONDENCJE ZAGRANICZNE

Dalszy ciąg ze str. 1

sobą żywił, przestrzeń, skały i wodę, w rzeczywistości siedzi na niewielkim kamieniu na płaskiej plaży, plaża jest nad kanałem, nie nad morzem, dokoła syrenki tłumy turystów, ledwie ją spośród nich widać; turyści ci siadają obok niej, pofalała się, obejmują, pstrykają. Wtedy właśnie ostrym, szybkim zakretem podfrunęła do nas matorówka, chłopak w rannych pantoflach i dżinsach wyrzucił sznurową drabinę, siwy starszy pan zbiegł po niej zwinnie jak cyrkowiec — zasalutował, uśmiechnął się, zawarowało — fiuut! już ich nie ma. To był duński pilot.

* * *

„Jak przystało na szanującego się podróżnika z Polski, trafił przede wszystkim do sklepu z przyborami seksualnymi” — pisał z przekąsem Hamilton w felietonie „Nasi za granicą”. W Kopenhagę jednak to samo twierdzenie odnieść by można do podróżników wszystkich nacji, przybywających tu po raz pierwszy, tym bardziej że do sklepów porno weale nie trzeba trafić: to one zracają się od razu w oczy, wszędzie, co parę kroków. A ponieważ w żadnym innym mieście świata czegoś podobnego nie usłyszysz — nie dziwnego, że z całego ulicznego krajobrazu ten właśnie motyw narzuca się uwadze z największą siłą, jest czymś nowym,

Później dochodzimy do Nyhavn, starej portowej uliczki, gdzie znów co dom — to lokalik. Małe bardzo, „stylowe” czy raczej bardzo na siłę wystylizowane. W podziemiach, na parterach i na piętrach. Żeby zakosztować miasta w różnych jego aspektach, wchodzimy do „Topless-baru”, zachęcającego pikantnymi fotosami. Wewnątrz jest mroczno i bardzo spokojnie. Przy niektórych stolikach siedzą goście przy piwie, rozmawiają szeptem, nikt tu nie wybucha śmiechem, ani po naszymu nie „szumi”. Pikantność, owszem, jest: magnetofon obsługuje dziewczyna nie ubrana w nic. Absolutnie nic. W atmosferze tego lokalu, tego spokoju i ciszy, ta naga, chuda dziewczyna wydaje się po prostu głupim nieporozumieniem. Mijamy dwa czy trzy słynne już zakłady tatuażu. Katalogi prymitywnych, okropnych wzorów straszą w małych przyziemnych witrynach. Tam się schodzi po wąskich schodkach prosto w epokę Dickens’a i jego londyńskich spelunek. „T-to Ole” proponuje nawet tatuaż wielobarwny. Widocznie trafiają się jeszcze ludzie, z których T-to Ole żyje, ale myślę, że majątku już nie zrobi. Owszem, na tej ulicy można by kręcić filmy „z epoki”, tu można znaleźć na ścianach piwiarni wypchane kookodyle i mapy nie istniejących wysp, pić wino z cynowych kubków, podane przez pacholka w skórzanym fartuchu. Tylko dlaczego jest tak celebracyjnie, tak konwencjonalnie, dlaczego nie widać, żeby się ktoś naprawdę bawił?

tów. Trzask, warkot, brzęk. Można przegrać sporo pieniędzy i „zabić” najwyższe kwadrans pustego czasu. To już wolałbym — jak ten trzylatek kipiący ze szczęścia — wrzucić dwadzieścia ore w inny automat i dosiąść zamocowanego na fest motocykla. Za tę opłatę motocykl będzie pode mną warczał, trząsał się i podskakiwał, dając złudzenie jazdy. Ponieważ jednak Czesio patrzy, kupujemy sobie tylko lody po cenie dziesięć razy wyższej niż w naszym barze mlecznym, a tylko dwa razy lepsze. Trzeba przecież jakoś to „Tivoli” skonsumentować.

Sklepy i domy towarowe wypełnione po brzegi towarami, wybór ogromny, żywność we wszystkich odmianach z egzotycznymi specjalnymi włączkami. Przy kupnie kawioru omal że nie zapłaciłem podwójnej ceny, ale sprzedawca był Turek, niech mu będzie, że się pomylił. Towaru — powiedziałam — mnóstwo, jednak ludzie na ulicy i wszędzie o ileż skromniej ubrani niż w naszej Piotrkowskiej! Ani jednej — powtarzam dobitnie: ani jednej spódnicy „bananowej” w Danii nie widziałem. Tu już dawno ubiór przestał być wyznacznikiem pozycji społecznej, sprawą prestiżową, czymś świadczącym o właścicielu, ubra się elegancko i „bogato”, nie ubiera się nikt. Po co? Nikomu tym nie zaimponuje. To u nas wciąż jeszcze motywem większości działań jest chęć pokazania się. Głuńcy chodzą w fabrycznych ubraniach, bez kravatów, często w dżinsach. Dunki — wyobraźcie sobie — prawie że się nie malują, nie widać tu zielonych paznokci i fioletowych fryzur. Prawda, widziałem taką fryzurę w Daellis Varehus, tutejszym domu towarowym. Jej właścicielka ciągnęła za rękaw eleganckiego pana z plereza, mówiąc niecierpliwie: „chodź, tego nie kupisz”. Oryginalnym pomysłem Dunek jest nie noszenie staników, co

sceny. Wtedy podróżnik z Polski, z głębi Polski, na przykład z Łodzi, staje doprawdy przychylny. Naszych portów przecież zwykły śmiertelnik nigdy nie zobaczy. Oddzielają go od nich kilometry terenów portowych, torów, szyn, budynków, parkanów, zakazów. Stąki możemy zobaczyć dopiero, wsiadłszy na jeden z nich. Więc jednak warto przyjechać do Kopenhagi, miasta, żyjącego z morzem na co dzień.

* * *

Monotonne buczenie maszyn ustaje, dzięki czemu słyszalne staje się klaskanie drobnej fały o ścianę naszej kabinki. Bulaj jest już małe słoneczko, tyle w nim dnia i pogody. Wstaje się więc z entuzjazmem, statek już przecież nie płytnie, już dobiłszy. To puste nabrzeże, ten bielutki długi budynek a tle rozświetlonej zieleni, ten grubas w jasnożółtym kombinezonie i czerwonej czapce — to Szwecja!

Jemy pośpiesznie sakramentalną śniadaniową jajecznicę na boczku, popijamy duńskim mlekiem z tekturowego pudełka, zimnym, ciężkim, ale jakby wyplukanym z walorów smakowych. Spieszmy nam się na ląd, na strzępek skandynawskiego lądu o nazwie Sölvesborg, którego z mapy ani rusz nie możemy sobie przypomnieć. Gdzie to jest? Gdzie właściwie jesteśmy?

Na krótkim nabrzeżu rozkraczony samotny dźwиг, równiutka piramida kolorowych beczek i jeden jedyny człowiek, ten w żółtym kombinezonie. Weale na nas nie zwraca uwagi. Schodzimy z Czesiem z paszportami w pogotowiu, nikt się nimi jednak nie raczy zainteresować. Po prostu schodzimy i idziemy betonową szosą w głąb, w stronę przelazających przez zielen dachów i kolorowych domów miasteczka. Oprócz naszej

Ietów i czerwieni, takich buldenezów i takich juczalczyków, takich powojów, magnoli — jakże żaluję, że nie umiem tego wszystkiego nazwać, tego, co się płóży srebrem po kamieniach, co się pnie, okręca wokół balustrad, ganków, balasków, co wyszła pionowa jak złoisty świecznik lub rozsiada się statecznie puszysta zieloną krynną. Taki tu widać styl, taka ambicja: prześcignąć salsadę w urządzeniu ogrodu. Trawa... pamiętam taką anegdotę: pyta ktoś Anglika, jak się to robi, że angielskie trawniki takie są piękne, na co otrzymał odpowiedź: to bardzo proste. Wystarczy je strzyć systematycznie przez jakieś sto pięćdziesiąt lat. Heł lat strzygą swoje trawniki mieszkańcy Sölvesborgu? Jak oni po czymś takim chodzą, a muszą chodzić, bo alejkę żadnych nie ma?

Potem szosa staje się ulicą, od której w bok odgałęziają się inne uliczki, aż dochodzimy do rynku. Jest ósma rano i skądś dobiega przyjemna melodia pozytywki — chyba z wieży małego ratusza. Ulice wciąż puste, jesteśmy jedynymi przechodniami, nie ma jeźdźcy, nie ma się nie rusza. Cisza — coś za kołosa cisza, znikąd nie wrzeszczy radio, gdyby ktoś wymówił jedno słowo podniesionym głosem, to otworzyłby się chyba ze zdziwienia wszystkie okna w mieście.

Miasto — sześć tysięcy mieszkańców, dwanaście ulic i rynek... Tylko, że to weale niepodobne do „miasteczka”, ani tym bardziej „mieściny”. Raczej do jakiegoś komfortowego kurortu, chociaż Sölvesborg żadnym kurortem nie jest. Domy nie wyższe niż dwa-trzy piętra. Tylko w jednym jednym miejscu natykamy się na długi, stereotypowy blok o całych rzędach balkonów, taki sam jak w Pabianicach i na Zubardzi. Poza tym same chyba domy jednorodzinne, no i rozpasana orgia ogrodów.

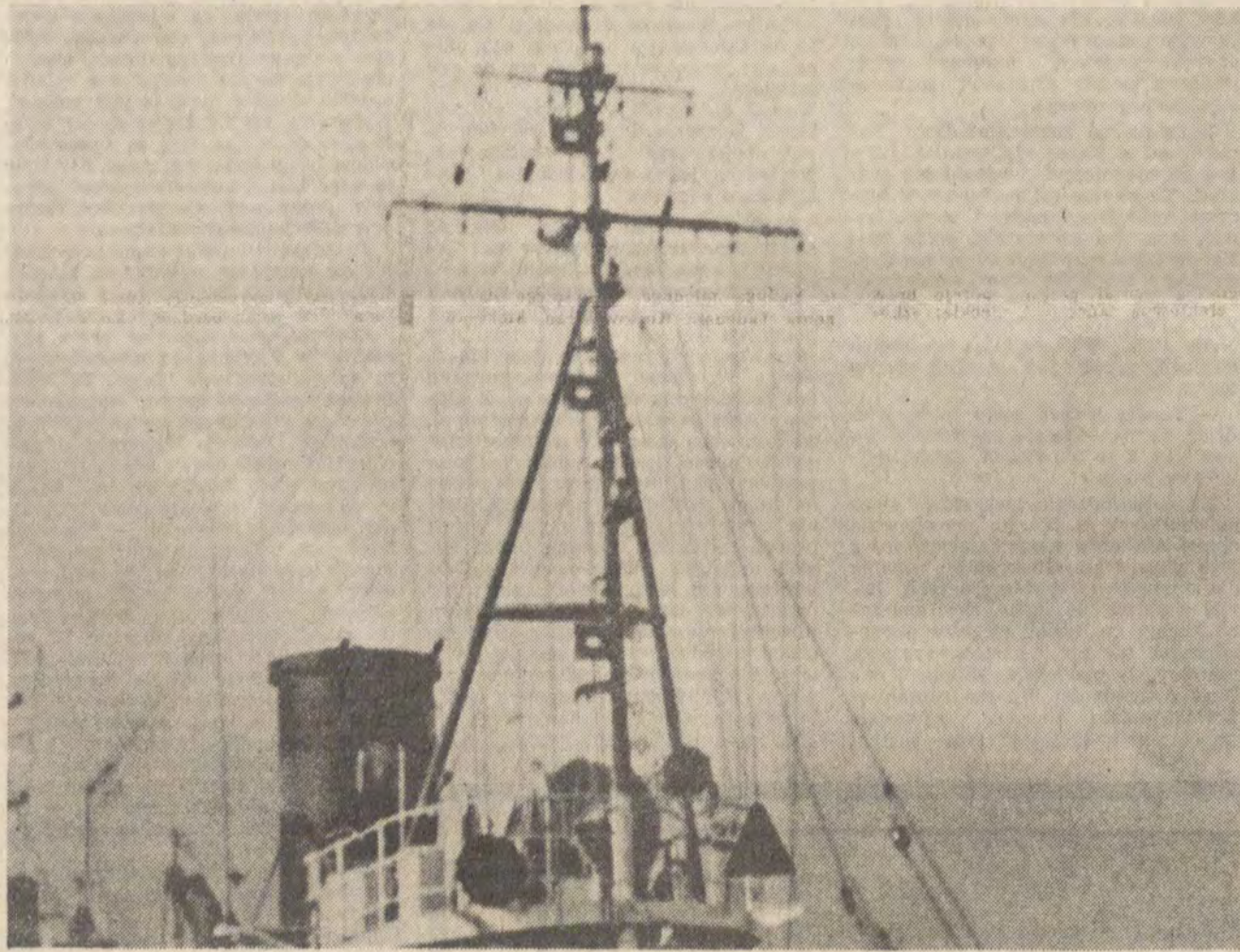
NIM Z POWROTEM WYLĄDUJEMY W SZCZECINIE

odsuwa wszystko inne w cień. Po paradniowym pobycie w mieście Andersena to miła, pierwsze wrażenie jednak jest właśnie, niestety, takie i nie na to nie poradzę: porno dominuje, porno przycisza uwagę, porno szokuje, Czegoś takiego aniśmy sobie wyobrazić nie mogli!

Miasto jest stare, piękne, nie tknięte wojną, a to już znaczy, że nie ma tu nowoczesnej architektury, luźnej zabudowy, wieżowców i mrówkowców. Nie jest żadnym węzłem kolejowym, ani stolicą wielkiego państwa. Dlatego na dworzec kolejowy wjeżdża parę pociągów dziennie, a nocą nie wjeżdża nic. Noc jest do spania i do zabawy. Do najdalszych kątów kraju można przecież dotrzeć w parę godzin. Wielką i nigdy nie zatłoczoną halę dworcową zamyka się więc na noc, co jest uroczą specyfiką Kopenhagi: starsze niewiasty szerokimi na dwa metry szczotkami zamiatają po północy posadzkę dworca i wymiatają z niego śpiących pokotem hippisów.

To są wyłącznie cudzoziemcy, w większości Anglicy. Obszarpani, kolorowi, zaróżnieni, czasami bosy. Wstają bez słowa i wynoszą się na dwór. Ponieważ — jak prawie zawsze — pada deszcz, układają się długim rzędem na flisach chłodnika tuż pod ścianą, pod wystającym szklanym daszkiem. W śpiworach, albo okryci w koce, albo jak się da. Dziewczęta czy chłopcy — bez różnicy. Głowy oparte o głęby, albo o siebie wzajem, albo o mur. Noc jest chłodna, deszcz ją ochładza także w lipcu i sierpniu. Wstają szarzy z zimna, brudni, stądają i tepo patrzają w próżnię. Nie rozumiem tego stylu przeżywania „radosnej, niepowtarzalnej młodości”, ale pewnie i oni kiedyś wspominać będą ów nocleg na kopenhaskim chodniku jako swoje szczęśliwe przeżycie.

Stroezet to taki bardzo długi, wąski pasaż przez środek miasta, gdzie nie ma ruchu kołowego, a są setki a setki sklepów. Z tego co drugi to „Porno-Shop”, „Porno-Show”, „Porno-Salon” lub „Porno-Center”. Zwąły mięsa w oświetlonych witrynach, w układach niewyobrażalnych i prawie bez reszty — patologicznych. Przez szeroko otwarte wejścia widać rząd wypiętych meskich zadków: to włosi i Arabowie, pochyleni do wzorników swojego Fotoplastykonu. Wrzucają pół korony i przez dwie czy trzy minuty oglądają krótki a sprężony film. Nad sklepem jest kino, ale tam już płaci się piętnaście koron. Za to siedzieć można do upojenia taśmą kręcić się non stop, ledwie co półtorę godziny zacznie się powtarzać. Nie są to filmy z fabułą, z akcją, z sensem. Jest tylko masowe kłębówisko nagich ciał w ujęciach naturalistycznych, że nie już więcej „zblizyć” się nie da. Widownia ma około tuzina miejsc, kilka jest zajętych — to również, tak jak my z Czesiem, cudzoziemcy. Także kobiety, także pary. Jeszcze o piętro wyżej funkcjonuje „Sauna, masaże itd”. Zostawmy to, nie tylko dlatego, że drogie.



Fot. Archiwum

Wychodzimy w zalaną deszczem noc, wprost na zalaną i zmokniętą parę, chyba Niemców. Na Stroezet ruch prawie że nie małał, tylko sklepy z antykami zamknięte. W kawiarniach pełno, na ławkach ulicznych moknąć trwają nieugięci hippisi. Interes porno kręci się całą dobę bez wytchnienia i znów dominuje nad kopenhaską nocą na Stroezet i — jeszcze bardziej — na Stergade, bliżej dworca i portu. Cała noc czynne są też niektóre z licznych kiosków z „ristede” — kielbaskami z różną. Przy tych kioskach ani w ogóle nigdzie nie widzisz gromady spocynych młodzieńców z fiachami piwa w rękach. W ogóle pijany na ulicy — jak ci na Nyhavn — to rzadkość.

W dzień mniej widać przechodniów o kolorowej skórze i małych z czarnymi bączkami Włochów. Oni w dzień pracują. Odwiedzamy — bo jakżeby nie — Tivoli, tutejszy Lunapark, ogród zabaw i rozywek. Zagęszczony do niemożliwości, bo obudowany ciasno dokoła miastem, samym śródmieściem. Pawilon przy pawilonie, smocza jama przy palacu sultana, karuzela obok dziecięcego tramwaju. W pawilonie gier hazardowych niezmordowane starsze panie trzaskają rączkami i ciurkiem wrzucają monety do żarłoczych automa-

wiać nieraz na pierwszy rzut oka i co nader często świadczy o dużej niefrasobliwości niewiasty i o jej abnegacji, co do „podobania się”. A na nogach — panowie i panie — drewniak. W tysiącu wzorów i fasonów, daje się przecież łatwo poznać uchem: stuk, puk.

Mimo wysokiej stopy życiowej i ogólnej zamożności kraju, ulic Kopenhagi nie wypełnia tak obfityny cyrk samochodowy, o jakim się czyta, że zadławił Paryż, Londyn i inne metropolie. Dominuje tłum pieszy, gesty jak we Wrocławiu, ha, niechący skojarzyłem dwa miasta: tu jest coś z atmosfery dzisiejszego Wrocławia, tych jego dzielnic, gdzie podniosłszy oczy w górę widzi się secesyjne fasady, wykusz, duże okna, krete balustrady balkonów. Tylko że w Kopenhague — jak w niewielu miastach świata — pokaza ci się nagle w perspektywie jednej i drugiej i dziesiątej ulicy ogromne kominy statków, maszty, białe profile pasażerskich oliniów. Port nie wiadomo gdzie się zaczyna i gdzie kończy. Wierchołki masztów suną nad liniami dachów zwykłych czynszowych kamienic — tuż tuż, po drugiej stronie ulicy. Czasem statek zabuczy głośno, czasem sunie w milczeniu jak gigantyczna dekoracja w głębi operowej

„Dziedziłiji” nie ma w porcie najmniejszej lupiny. Nie ma zresztą żadnego portu. Czy aby ten dźwиг nie sterczy tu na wyrost?

Jest wczesny ranek i w ogóle nie widać ludzi. Właściwe miasteczko — ów nieoczekiwany, nieplanowany Sölvesborg — leży stąd o dwa kilometry, maszerujemy więc pustą szosą, krajobraz jak z pocztówki, powietrze — sama rozkosz dla płuc. Lasy i woda, zalesione wzgórza, błękitne niebo i błękitna zatoka. A wzdłuż szosy rzędem domy, zwyczajne, jednorodzinne, wiejskie domy, od których nie możemy oderwać oczu.

Uwaga! — mówię do siebie w duchu, mówilem wtedy i teraz. Uwaga, nie dać się, poszukać jakiejś dziury w całym, wyważyć proporcje, nie ufać pozorom. Ba, w czasie dwukilometrowego marszu po słonecznej, nadmorskiej, nadleśnej szosie widzi się tylko „pozory”, tylko to, co się widzi. Można zeza dostać z brzydkiej ządrości, jednocześnie jakże to cieszę; ten iden wielki, niezmiernie rozmaity, rozszalały tyśmiec kolorów bukiet, każdy dom tonie w kwiatach. Same niespodzianki jak widzieli: marynarze w bamboszach i skalistka, północna Szwecja — w kwiatkach. Ale to orawda: nigdzie dotąd nie widziałem tylu gatunków na raz takich fio-

O dziewiątej sklepy się otworzyły, otworzył się też bank na rynku, zjechało kilka półcieżarówek farmerkich z produktami rolnymi. Wymieniliśmy korony duńskie na szwedzkie. Jeden z małych z pozoru sklepów okazał się przedsięwzięciem do dużego uniwersalnego domu towarowego. Sam tylko parter, ale zavalony towarami o nieprzebranej różnorodności. Ha, więc to tutaj zaopatrują się panie domu w mięso i ryby, nabiał owoce, konserwy i słodycze.

W samoobsługowym magazynie jest wszystko. Także złote bransolety i plastikowe hydranty, kapelusze damskie, zabawki, kosmetyki, frymuśne staniczki, i rybaczkie gumowe portki, także czasopisma z obrazkami dla panów. Wdzięcznie wypięte pupy, zresztą w świetnym fotograficznie wykonaniu, nie są jednak w stanie zatrzymać na dłużej waszego wzroku: przybieramy przecież z Danii, o której warto by opowiedzieć osobno. Grzebiemy w tysiącu i jeden drobniaczek. Przeliczamy gorączkowo złote na bony pekao, na korony duńskie, z duńskich na szwedzkie. Przeliczenia nie wypadają za dobrze. Nagle okazuje się, że wszystko tu straszliwie drogie, chociaż wiemy, że to nie jest cała prawda: musieliśmy jeszcze wiedzieć coś o poziomie tutejszych plac itd.

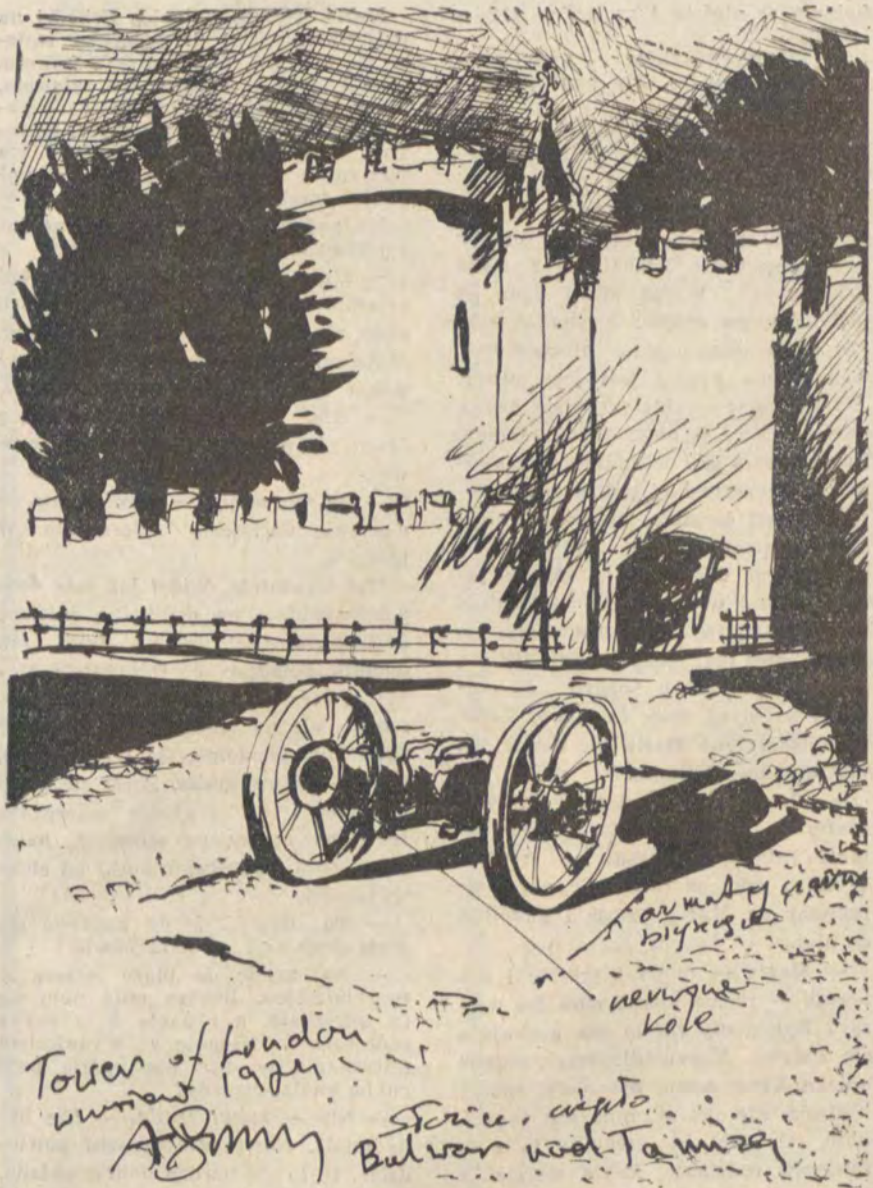
Próbujemy metody kolejnych przybliżeń: jeśli szaleł u nas złotówkę, a „Przekrój” pięć złotych, natomiast w Sölvesborgu to pierwsze dwadzieścia ore, a to drugie (choć pod innym tytułem) — pięć koron, to czy szaleły są w Szwecji tanie, czy prasa droga? — Popatrz, trzy korony damskie majteczki — wtrąca się Czesio i psuje mi cały wywód. Zresztą te dwadzieścia ore, które trzeba wrzucić do szparki, żeby drzwi szaletu się otworzyły, to też dla nas cena wygórowana.

Zaglądamy do magazynu mebli — czy znajdziemy tu odpowiedniki naszych „Wyszkowów” i „Lasków”, naszych „kompletów wypoczynkowych”, regalów, okolicznościowych przyziemnych stolików? Nie z tych rzeczy. Jak spać — to w łóżku! Materace z pianki, kolory bajeczne, ale łoża jak się patrzy, podwójne, z „hauptem” w głowach. Jak śledzić — to na solidnym siedzisku, przy solidnym stole, dostosowanym do wzrostu normalnego człowieka. A wszystko — taka tu widać moda — z surowych sekatych desek, z palonej sosny, bez fornu, bez wysokich polskówek. O wykończeniu nie mówię.

Gdy wracamy po południu, przed domami siedzą na bujających się ławkach mieszkańcy tych zadbanych do niemożliwości domów. Mają czas na siedzenie?

Grube Szweda dom przy statku nie ma, luki zamknięte, zaraz będziemy odpływać. Za niecałą dobę będziemy w Szczecinie.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



Rys. A. Grun

1.

Na Trafalgar Square kolumna z Nelsonem chwije się na tle nieba. To obłoki pędzone od morza wiatrem sprawiają, że stojąc pod kolumną, tuż obok któregoś z czterech spiżowych lwów, które strzegą spokoju jednookiego admirała i patrząc w górę odnosi się to dziwne wrażenie, że chwije się ona na wszystkie strony i że za chwilę może runąć. Mimo spiżowych lwów, admirał (odwrócony tyłem do National Gallery — za jego czasów już rzadko wielu wodzowie wykazywali umiłowanie sztuki) spokoju nie ma, a to z racji gołębi, które siadają na nim co rusz w wiadomych celach. Na placu całe ich chmary. Na placu Nelson, lwy, gołębie w dużej ilości, dwie fontanny z przedziwnie błękitną wodą i trochę turystów, jako że sezon ma się ku końcowi. W słoneczny dzień Trafalgar Square jest jednym z najsympatyczniejszych placów londyńskich.

2.

Z Trafalgar najlepiej pójść Stran- dem aż do Fleet Street. Wzdłuż tej to osi, na przestrzeni wieków formu- lując swój obecny kształt urbanisty- czny, łączył się Londyn z Westmin- ster. Strand czyli nadbrzeże istniał już w wieku XII, zaś jako ulica, przy której, po klęsce zarazy w 1665 roku (zmarło wtedy 20 procent mieszkań- ców) i pożarze w 1666 roku (spłonę- ło wtedy w Londynie 13 tysięcy bu- dynków; 80 tysięcy mieszkańców zra- lazło się bez dachu nad głową) bu- dowali się bogaci kupcy — od XVI wieku. Tu też zachowało się najwie- ciej budowli z czasy wiktoriańskiej i Edwarda VII w formie najmniej ska- żonej.

Właśnie na Strandzie spotkałem się z Churchilllem; w Somerset House obok King's Collage wystawa churchillianów. Wstęp 30 pensów — stać mnie na to. Wchodzę, służba w libe- riach... Przepraszam, zagalopowałem się nieco. Obsługa wystawy, portierzy, szatniarze etc. w jednakowych, nie- co fantastycznych ubraniach. Kieruje moimi krokami. Najpierw film, na którym jakiś pan mówi, że Churchill był politykiem, pisarzem, filozofem, duchowym przywódcą, żołnierzem i wodzem, artystą malarzem, history-kiem, a także, a może przede wszyst- kim — człowiekiem. Potem na czer- wonym, ciemnoczerwonym tle ukazu- je się czarna sylwetka Churchilla w płaszczu, z sterującym cygarem. Nie wiem dlaczego, ale przypominały mi się nagle niektóre filmy z niezbyt odległej przeszłości. Ma człowiek cza- sem takie dziwne skojarzenia, że sam się sobie dziwi. Po filmie proszą na górę, półkolistymi schodami na drugie piętro. We wnęce przed scho- dami stoi ogromna głowa Churchilla (co najmniej 1,80 m wysokości), z białego kamienia. W pierwszej sali portrety przodków i przodków, złote ramy, przyciemnione płótna. W szkla- nych gablotach dwa parasole lady

Randolph Churchill: dwa pistolety (inkrustowane) z roku 1720 należące do 1-go Duke of Marlborough; znowu portrety, potem zdjęcia ojca i matki Churchilla, stroniczka z zeszytu szkol- nego, książki... Dwa zdjęcia z Afryki, z wojny z Burami — Churchill był tam jako korespondent wojenny; na zdjęciach młody, szczupły, zawadiac-ki. Przystojny mężczyzna. Dalej re- wolwer kaliber 45, model z roku 1892 — miał go w Indiach w latach 1897—98; pistolet Mauser 9 mm — miał go w bitwie pod Omdurman (2 se- ptember 1898); Colt kaliber 45, nosił go jako Lieutenant-Colonel coman- ding the 6-th Royal Scots Fusiliers. Już wtedy palił cygara. Dalej munda- tury: marynarki królewskiej (1913 rok) i RAF (1919). Zdjęcie Church- illa w kombinzonie pilota. Dalej zaimprovizowane atelier malarza: sztaluga, krzesło, przez poręcz prze- rzucony biały kitel, pobrudzony far- bami (malczyłem siedem plam w sied- miu kolorach — siódemka, cyfra magiczna), zaschnięta paleta, pędzle, obrazy. Churchill chętnie malował Afrykę, sielskie słoneczne pejzaże, morze, zwierzęta. Obrazy niewielkie- go formatu. Na pewno był lepszym politykiem niż malarzem, ale z obra- zów wnosić można, że malowanie sprawiło mu ogromną przyjemność. I dalej zdjęcia: Churchill z sztalu- gami w zoo, z sztalugami na plaży. Churchill na ulicy z żoną. Dalej ceremonialna broń, cygara, szkiecw- niki, odznaczenia...

Potem dwa ogromne zdjęcia: Hit- ler w swoim charakterystycznym ge- ście, z wykrzywioną gębą, w czasie jakiegoś przemówienia i obok Church- ill z cygarem. Dalej zdjęcie Roose- velta z dedykacją dla Churchilla. Da- lej Churchill ogląda zbombardowany dom. Dalej ogromne zdjęcie: Church- ill i de Gaulle w samochodzie. Da- lej Churchill wśród pilotów RAF. Mary Churchill w mundurze służby pomocniczej i jej listy. Cygara. Zdję- cia Churchilla z rodziną. Churchill z dziećmi. Na samym końcu w gablo- cie złota cygarnica od Aristotelesa Ona- ssisa, November 1960 rok. I jeszcze na koniec ogromny obraz (chyba ko- pia) Rubensa albo Tycjana (co za różnica) — lew złapany w sieć. Alegoria?

Półkolistymi schodami — na dół. Z góry ogromna głowa z białego ka- mienia wygląda jak wielka kula. Głaska. W hallu pamiątki: książki Churchilla i o Churchillu, figurki z brązu, z gipsu, plakietki, chorągiew- ki, popielniczki, cygara, znaczki do klapy, slajdy... Wychodzę na Strand z głębokim przekonaniem, że Church- ill też kochał dzieci.

I z uczuciem przykrego niedosytu. Jakie tendencje kierowały organiza- torami tej wystawy? Ani Jały, ani śladów tego, co działo się na kontyn- encie, ani wielu innych spraw zwią- zanych z Churchilllem. Wydaje mi się, że Wyspa leży nie o szerokość Kanaju La Manche od Europy, a gdzieś na środku Atlantyku.

Swieci słońce, ciepło. Po bladobłę- kitnym niebie wiatr od morza goni małe, perlowszarcze obłoczki. To pol- ski lotnik stracił pierwszy niemiecki samolot pod Londynem. Oni tu wie- dzą swoje, a ja wiem swoje. Idę Stran- dem w kierunku Fleet Street. Jakoś sucho w gardle. A jeśli w Londynie zaschnie ci w gardle, to co należy zrobić? Należy czym prędzej wieść do jakiegoś pubu. To jest przy-

kazanie pierwsze i podstawowe. A- men. Na Fleet Street wiaże do pubu „Punch”. Chłodny, podwójny Double Diamond (polubilem) to jest właśnie to na takie okoliczności. A do tego „Klubowy”. No i można za chwilę rozglądać się dalej.

„Punch” — pierwsza na świecie gazeta satyryczna w nowoczesnym tego słowa znaczeniu, powstała w 1841 roku. Na ścianach pubu, który sobie od gazety nazwę przyjął, wiszą zdje- cia kolejnych redaktorów naczelnych. Znakomici to byli dziennikarze, naz- wiska ich w leksykonach znajdziesz. Pierwszym był Mark Lemon (w la- tach 1841—1870 prowadził pismo) — podobny do Marksa jak dwie krople wody. Potem był Brooks (1870—1874), potem Taylor (1874—80), potem inni, a obecnym naczelnym jest od 1957 roku Bernard Hollowood. Większość z nich to brodacze. I słusznie. Czło- wiek z brodą wygląda lepiej niż czło- wiek bez brody, aczkolwiek opinie są w tej kwestii podzielone. Poza redak- torami na ścianach rysunki publiko- wane w piśmie. Pub wygląda jak wystawa „Karuzeli”, tylko trochę tu ciemniej, trochę przytulniej, no i jest się czego napić.

Na Fleet Street redakcyjne Daily Telegraph, Daily Express, Sunday Express i inne. Fleet Street to ulica dziennikarzy, redakcji, centrum lon- dyńskiej prasy i poligrafii. Przez te- reny, na których leży Londyn, pły- ły kiedyś dwie rzeczki: Walbrook i Fleet. Dawniej zniknęły one z pejzażu miasta. Ich korytami płyną teraz ście- ki. Fleet przykryta została w 1737

KORESPONDENCJE ZAGRANICZNE

redakcje gazet wychodzących codzien- nie w wielkich formatach i objętości kilkudziesięciu stron, milionowych na- kładach. Wymaga to zapieczęta techni- cznego — wielkich, zmechanizowa- nych zakładów graficznych. Połowa wszystkich drukarzy angielskich pra- cuje w Londynie, a połowa z tego w City, w okolicach Fleet Street. Inne działy poligrafii nie są tak skoncen- trowane i City nie odgrywa tu aż tak dominującej roli. Ogółem w Country of London pracuje ponad 110 tysię- cy poligrafów. Poza nielicznymi wiel- kimi i dużymi zakładami, większość stanowią średnie i małe drukarnie oraz zakłady litograficzne, a przecię- tne zatrudnienie w zakładzie wynosi 31 pracowników. Wraz z przemysłem papierniczym, zlokalizowanym nad dolną Tamizą i wytwórniami papete- rii, poligrafia jest gałęzią produkcji odznaczającą się wysokim zatrudnie- niem. W 1951 roku w Wielkim Lon- dynie przemysł papierniczo-poligrafic- zny zatrudniał blisko 180 tysięcy os- ób, a obecnie blisko 200 tysięcy os- ób”.

Bardzo to zacnie pić piwo na Fleet Street. Wasze zdrowie, dziennikarze

gdy dzień przelamuje noc, zamek wy- gląda prawdziwie. I w mgłę, i w de- szczu, i w pochmurnym dniu zamko- wi do twarzy.

Obserwuję grupę Niemców. Pilnie identyfikują otoczenie ze zdjęciami w kolorowym folderze. Gapią się na most i na zdjęcia, gapią się na za- mek i na zdjęcia, gapią się na ar- maty, ustawione wzdłuż bulwaru, pod murami zamku, i na zdjęcia... W porządku. Wszystkie się zgadza. Są zadowoleni. W naturze jest tak samo jak na zdjęciu w przewodniku. Przy- jechali tu z Hamburga czy z Mona- chium i oto upewniają się, że sprze- dano im oryginał a nie ersatz. Idą oglądać do środka. Tam też będą po- równywali oryginały ze zdjęciami w przewodniku. Ale i tak zapamiętają tylko kolorowe zdjęcia z folderów. Współczesna turystyka. Świat w sla- dach.

Prześmieszny widok. Wycieczka szkolna. Dziewczynki w trawiastych kostiumkach, w złotych kapelus- kach a la Chevalier, w zielonych pod- kolanówkach, w czarnych lakierowa- nych pantofelkach. Małe i duże, chu- de i grube. Wycieczka Japończyków

CHCIAŁBYM RYSOWAĆ WARSZAWĘ...

roku. Pozostała po niej tylko nazwa.

Drukarnia, znane w Londynie od XVI wieku, od samego początku za- gnieździło się w zachodniej części City, właśnie tu, na Fleet Street. Rozwój drukarstwa w XIX wieku związany z wynalezieniem maszyn szybkodrukujących (1860 rok) wpły- nał na podniesienie nakładów gazet, na rozwój literatury i prasy. Poligra- fia stała się jednym z podstawowych przemysłów Londynu i w chwili obec- nej jest jednym z przemysłów zloka- lizowanych w City. Inne gałęzie prze- mysłu rozsiadły się na obrzeżach Ci- ty. Ludwik Straszewicz w „Wielkich stolicach Europy” pisze: „Prasa lon- dyńska jest w niesłychanym stopniu skoncentrowana przy jednej ulicy, na przestrzeni kilkuset metrów. Przy Fleet Street sąsiadują z sobą wielkie

zgnilego Zachodu, wasze zdrowie lon- dynscy towarzysze sztuki drukarskiej.

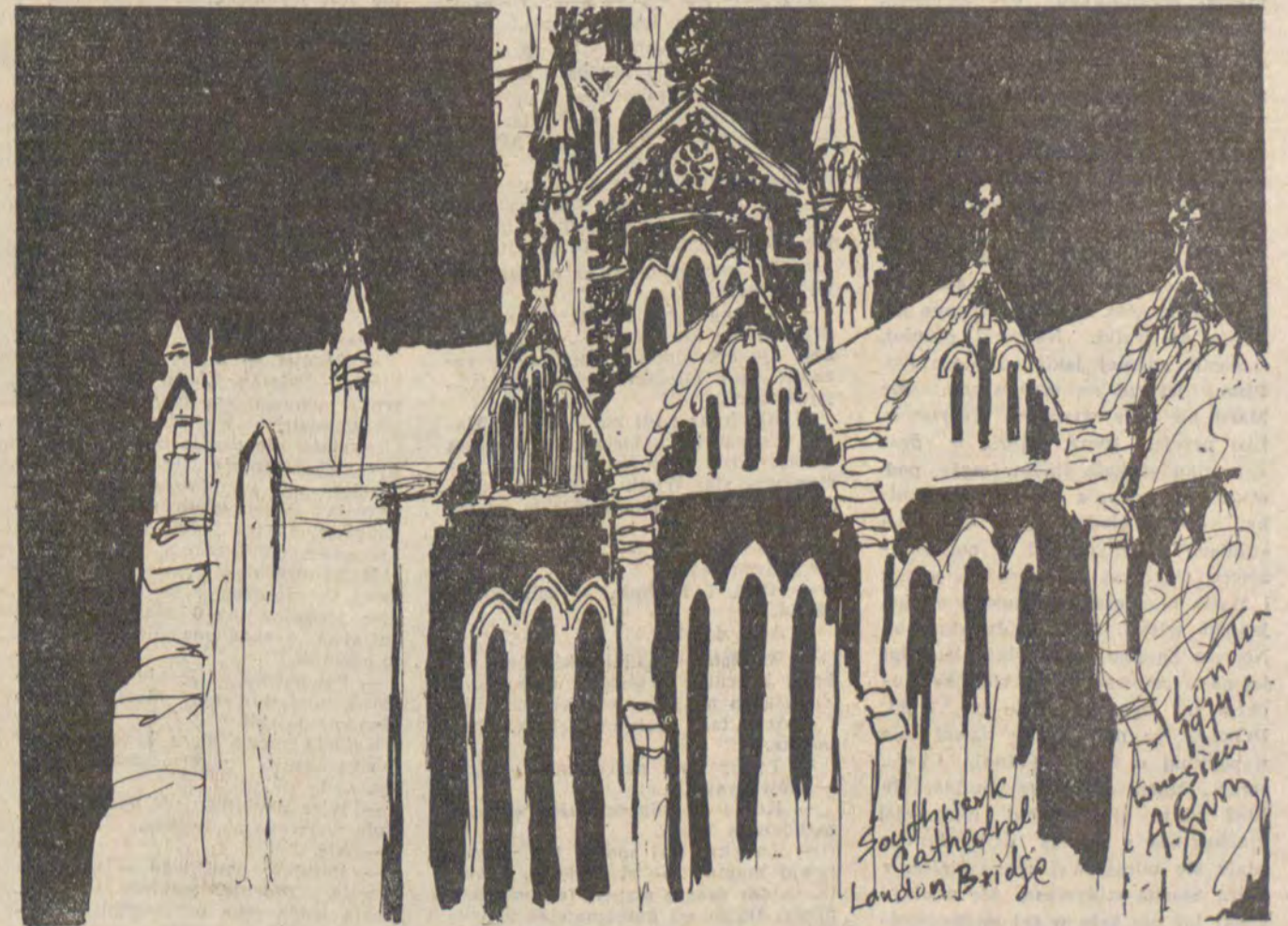
Wokół zamku Tower, który przypo- mina, jako żywo, dekorację do filmu kostiumowego (tak, jakby do Szekspi- ra, czy co), na bulwarze od strony Tamizy, gdy dzień słoneczny, tłumy turystów, wycieczki. Niemal wszyscy z aparatami fotograficznymi skiero- wanymi na Tower Bridge, jedyny zwodzony most londyński. Jeszcze do niedawna dopływały tu statki. Port londyński kończył się właściwie do- piero przed najstarszym mostem Lon- don Bridge. Teraz pływają tu tylko statki spacerowe, obwożące turystów po dokach, w dół Tamizy, albo pla- kodkowe barki z drobnicą. W słońcu i nocą, w żółtym świetle latarni przeciwnogłowych Tower wygląda jak makieta. Jedynie wczesnym świtem,

jak jastrzębie rzuciła się na nie z a- paratami. A one jak Tower — nie- wzruszone.

Prześmieszne są te armaty usta- wione wzdłuż bulwaru pod murami zamku. Są czarne a lufy mają zat- kane pomalowanymi na czerwono ku- lami.

Nieprawdą jest, że wszyscy Japoń- czycy fotografują. Spotkałem jedno- go, jak siedział ze szkiecownikiem i rysował ołówkiem Tower Bridge, Tamizę, staki. Z tokijskiej Akademii Sztuk Pięknych. W tym sezonie ry- sował już Rzym, Paryż, Madryt, a teraz rysuje Londyn. Mówił, że chciałby rysować Warszawę i Mo- skwę, Pragę i Budapeszt już rysował. Przyjacielu, nie nie stój na przeszkod- zie. Przyjeżdżaj rysować Warszawę.

ANDRZEJ GRUN



Rys. A. Grun

WNUCZEK

— Babcia sama tak żyje? — pyta chłopak. Ładny jest ten mój wnuczek, myśli Maria. I mówi do mnie: „babcia”. Jestem więc babcią. Smutne to, ale równocześnie jakie miłe. Zawsze marzyła, żeby mieć wnuka. I ma. Po tylu latach zjawia się. Jaki podobny do Staszka. Ma takie jasne włosy jak jej syn. I oczy też jasne. Chociaż nie. Stach miał zdaje się jaśniejsze. Wysokie czoło też jak u Staszka. Po co on nosi, ten wnuczek, takie długie włosy. Opadają mu na ramiona, jak u dziewczyny. To nie, myśli Maria, potem go poproszę, to je skróci. A swoją drogą jakie to szczęście mieć wnuka, jeśli już straciło się syna.

— Widzisz, moje dziecko, widzisz — zaczyna Maria. Chce powiedzieć widzisz „mój wnuczek” ale tych słów nie może jakoś wymówić. Wzruszenie dławi ją w gardle.

— Jestem sama... — Milknie. Przypatruje się wnuczkowi i jego matce.

— Bo jeśli pani nie wierzy... — odzywa się ta kobieta.

— W co? W co nie wierzę? — pyta Maria.

— No, jeśli pani, jeśli mama... — poprawia się tamta — jeżeli... to ja mam d wody.

— Dowody? — pyta nie nie rozumiejąc Maria. — Jakie dowody?

Kobieta sięga do torebki swoją pulchną dłoń. Grzebie przez chwilę, potem coś wyciąga.

— O! Proszę! To jego zdjęcie. Pani syna. Mojego Staszka. Dal mi je, mama wie, wtedy, przed odejściem na front.

Maria bierze zdjęcie. Trzęsą się jej ręce. To z emocji. Ledwie rzuca okiem na fotografię. Jest taka sama jak ta, którą ma. To tylko inna odbitka. Maria patrzy uważnie na wnuka. Stara się znów uchwycić jakieś wyraźniejsze podobieństwo między ojcem a synem.

— Niechże pani, niech mama przeczyta to, co na odwrocie.

— A tak, tak. Dobrze. Gdzie się podzieliły moje okulary? — Maria zrywa się z krzesła. Wędruje na drugi koniec pokoju. Znajduje okulary na biurku. Wraca na dawne miejsce.

— No, dobrze — mówi. Czyta dedykację: „Kochanej Laluni na pamiątkę naszych niezapomnianych pełnych szczęścia i miłości chwil Staszek”. Pismo jest Stacha, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. I ten jego podpis, który Maria tak dobrze zna. Zamaszysty, pełen energii, fantazji. U dołu jeszcze data: 28. VIII. 1939 r.

No, tak — myśli Maria. A w trzy dni potem... Nie było już Stacha przy tej kobiecie, która teraz siedzi tu za stołem, otyła i postarzała. Wówczas była młodziutką, zęgną Stacha gorącym pocałunkami, gdy odchodził na front, z którego nigdy już nie powrócił.

Pani wie — odzywa się przybyła — że ja właściwie mam na imię Franja. Ale Staszek nazywał mnie zawsze Lalunią. Pani wie... to jest, chciałam powiedzieć, mama wie. To wtedy w lecie na manewrach... Mieszkał u nas we dworze...

Maria wie, pamięta o tym, że Stach w sierpniu był na manewrach pod Nowym Sączem. Stamtąd zabrano ich prosto do walki. Nadszedł później, znacznie później jakiś od niego list. Pisany jeszcze na manewrach. Ale Marii nie było wtedy w Warszawie. List przejęła Irena. Maria w październiku szukała śladów męża, podoficera rezerwy, z zawodu mechanika. Szukała śladów syna, który po studiach prawnych był w podchorążówce. Obydwaj nie wrócili z wojny i Maria bezskutecznie szukała o nich jakichś wieści. Była w dworku pod Nowym Sączem. Lecz nikt nie mógł jej poinformować, co się stało ze Stachem po jego wyjeździe na front. Dziwne, że nikt wtedy nawet nie wspominał o żadnej Laluni. Choć... zaraz... Maria sobie przypomina, że ktoś, zdaje się wiejski nauczyciel przebąkiwał o jakiejś dziewczynie... zdaje się miejscowej nauczycielce, z którą Stacha widywano. Ale nauczycielki już nie było w tej miejscowości. Wyjechała z końcem września czy października. Dokąd? Niki nie umiał

tego powiedzieć. Czyżby to była ta kobieta, która teraz siedzi przed Marią?

— Czy pani próbowała — mówi Maria — odszukać Stacha?

— Ależ tak, proszę mamy... Ileż ja się najęździłam, nachodziłam, dowadywałam. Podobno... mówiono mi, że zginął pod Warszawą... Ale grobu nigdy nie odnalazłam.

Zapada ciężkie milczenie.

Ten list, myśli Maria. Ten list może byłby wskazówką... Nie, skądże, przecież pisany był w sierpniu. Mógłby może jedynie rzucić jakieś światło na to, co łączyło Stacha z Lalunią, być może tą kobietą, której oczy wpatrzono się teraz w twarz Marii. Irena podobno nie otwierała koperty listu. Czekala z nim na Marię. A potem, kiedy Maria z końcem października przyjechała do siostry do Warszawy, Irena nie mogła sobie przypomnieć, co się stało z listem. Przepadła ostatnia wiadomość od syna. Maria nigdy nie mogła tego darować Irenie. Czasem, słusznie, a może niesłusznie posądzała siostrę, że umyślnie zniszczyła tę ostatnią przesyłkę od Stacha. Irena była starą panną. Czy nie zazdrościła Marii męża, syna, małżeństwa? Czy to ona, Maria, winna jest temu, że siostra nie wyszła nigdy za mąż? Sama sobie winna. Była egoistyczna i nieznosna. Żyła tu przez wiele lat, pod jednym dachem, spokojnie i zgodnie. Przynajmniej tak się wszystkim wydawało. Ale naprawdę, ileż to razy siostra stawała się złośliwa, okrutna nawet. Ileż to razy padały słowa i półsłówka, za którymi kryła się tajona nienawiść. „Nie zapominaj moja droga — cedziła Irena słodkiutko — że jednak w tym domu ja mam coś niecos do powiedzenia”. W rzeczywistości oznaczało to, że wszystko ma do powiedzenia i nie zniechęca żadnego sprzeciwu. „Kiedy budowałam ten dom — mówiła Irena — nikt mi nie pomagał, a teraz ty siedzisz tu na gotowym”. Maria uciekała wtedy do swego pokoju, pakowała skromny dobytek, oznajmiała siostrze, że jeszcze dziś wyprowadzi się z jej domu, biegła po mieście próbując wynaleźć jakieś locum, po czym wracała nie nie znalazła. Irena przyjmowała ją serdecznie, błagała nawet, żeby siostra została, przeproszała, że to niechcąc, że się niesłusznie uniosła. Godziły się i wszystko wracało do normy. Irena nadal rządziła domem, Maria sprzątała, prała, prasowała, chodziła po zakupy, gotowała. A teraz Maria chciała, żeby Irena żyła. Żeby żyła i zobaczyła jej wnuka. Żeby wiedziała, że Maria nie jest już sama.

— Pani nie wątpi? — przerywa rozmyślenia Marii przybyła kobieta.

O jakich wątpliwościach mówi ta kobieta, zastanawia się Maria. Już drugi raz zadaje jej to samo pytanie.

— ...bo — ciągnie tamta — już dawno powinnam się do mamy zgłosić. Od jakiegoś czasu dopiero mam adres, ale nie przychodziłam, bo nie wiedziałam, jak mama to przyjmie...

— Nie rozumiem. O czym pani mówi? — pyta Maria.

— No, bo teraz to już inaczej ludzie myślą... ale dawniej... mieć dziecko... tak bez ślubu... Mama mnie rozumie... nie miałam odwagi przyjść... powiedzieć.

— Ale teraz pani ma? — pyta Maria. Czemu ta kobieta nie przyszła wtedy, kiedy żyła jeszcze Irena?, zastanawia się. Wnuk patrzy na sufit jakby próbował odnaleźć tam płamę czy zacięk.

— Ładna chata — odzywa się. — Ile tu tych pokoi?

— Dwa i kuchnia — odpowiada Maria.

— A na dole?

— Na dole — hall i także dwa pokoje, łazienka, kuchnia, korytarzyk. Zresztą tu na górze też jest łazienka i jeszcze taki mały pokój, służbówka.

— To by nam nawet odpowiadało — mówi wnuk.

— Komu by odpowiadało? — pyta zaskoczona Maria.

— Jerzyku! Daj spokój i nie przerywaj mamusi! — strofuje go kobieta. — On prosił mamy, taki niecierpliwy. Dajże mi porozmawiać z babcią — zwraca się do syna. — On, proszę mamy, chce się żenić — wyjaśnia.

— Ach tak! — woła Maria. I myśli: „Więc jest nadzieja, że będę miała niedługo nie tylko wnuka, ale i prawnuka. Śmieszne. Ale i miłe”.

— Te pokoje na dole to wolne, czy jak? — pyta chłopak.

— Ależ skąd? Wydzierżawiliśmy, to znaczy moja siostra jeszcze, wydzierżawiła. Mieszka tam inżynier z żoną i dziećmi — tłumaczy Maria.

— Nie szkodzi — mówi wnuk. — Przecież cała willa jest babci. Wyrzuci się tamtych.

— Jak to wyrzuci? — dziwi się Maria. — A gdzie się oni podzięją? Tyle lat tu mieszkali i mam ich wyrzucać? A po co?

— A co to babcię obchodzi, dokąd pójdą. Babci żartowanie.

— A poza tym... — tłumaczy Maria. — Willa należy po śmierci siostry do mnie. Tylko, że nie przeprowadziłam jeszcze postępowania spadkowego. Trzeba będzie...

— Zalatwi się. A obciążę hipotecznymi nie ma żadnych? — pyta podejrzliwie.

— No, chyba nie ma. Nie wiem dokładnie.

— Chyba... dobre sobie. Trzeba się dowiedzieć! I to zaraz. Jutro. Babcia nawet nie wie, czy nie ma długów na tym domu?

— Proszę cię, Jureczku, nie przerywaj kiedy mówię z mamą. Wiem jak wspominałam — ciągnie kobieta — zamierzalam już dawno zgłosić się do mamy. Jest kilka pilnych spraw do załatwienia. Jureczek do tej pory nie ma nazwiska.

— Jak to nie ma nazwiska? — dziwi się Maria.

— Nno niby ma... Ale moje... panięskie. Trzeba te wszystkie sprawy jakoś uregulować. No bo jak wnuk, to wnuk. Ma chyba prawo do nazwiska po ojcu! Ja nawet już przygotowałam te różne papiery. Och! Ile to formalności, pani, to jest mama, chciałam powiedzieć, nie wybobraża sobie, ile tej bieganiny.

Kobieta sięga do torebki wyciąga kilka arkuszy. Jeden z nich kładzie na stole, przed Marią. — My się teraz mamą zajmijmy. Już mama nie będzie sama. O, ja dobrze wiem jak to być sama. Ja też borykałam się w pojedynkę z życiem, i mojego synka, Jureczka... ja sama... sama... wilgotniejszą jej oczy. Ociera wierzchem pulchnej dłoni łzy.

— Niech mama to podpisze — mówi kobieta podsuwając Marii papier.

— Gdzie... co... gdzie mam podpisać — pyta Maria, zakładając okulary.

— No, tu... — mówi chłopak ze zniecierpliwieniem. — Tu. — Palcem wskazuje miejsce u dołu, zapisanej maszynowym pismem, stronicy. — No... na co babcia czeka? Szkoda czasu.

— Och tak, mamę. Mamę jeszcze tyle spraw do załatwienia — dodaje kobieta.

Maria, która trzyma w ręku długopis podsunęły jej przez wnuka, nagle i zdecydowanym ruchem odsuwa od siebie papier. Nie podpisze. To nie jest jej wnuk. Jej wnuk tak by się nie zachowywał. To przecież jasne. Teraz Maria sobie to uprzytomnia. Ta kobieta jest komedianką, a jej syn, jeżeli to w ogóle jej syn, a nie współnik, jest oszustem. Oboje to oszuści. I jakby słyszała ironiczny, ostrzegawczy głos Ireny: „Doprawdy to dziwne. Bardzo dziwne. Czy nie uważasz moja droga Mario, że przedtem nie miałas wnuka. Ale skoro odziedziczyłaś wille, to natychmiast znalazła się rodzinka”. „To jest mój wnuk” — próbuje bronić się Maria w wymaginowanej rozmowie z siostrą, ale w wyobraźni słyszy tylko jej szwiderszy śmiech.

— Mamo! — mówi płacząco kobieta. — Mamo, niech się mama nie zraża zachowaniem Jureczka. On miał ciężkie dzieciństwo. Może go źle wychowałam, ale czy ja miałam warunki? Zajmijmy się teraz nim obie. Wychowamy go jeszcze na ludzi. Prawda? No, właśnie. Niech mama podpisze. O tu, jeden podpis. Może być nawet nieczytelny.

Maria przebiega wzrokiem dokument. Stwierdzenie, że ten młodzieniec siedzący przed nią jest synem jej syna. A skąd ona, Maria ma mieć tę pewność?

— Powiedziałam, że nie podpiszę — mówi zdecydowanie Maria i rzuca długopis na stół.

Kobieta zrywa się z krzesła. Z jej twarzy znika pokora, zmartwienie, łzy.

— Więc pani tego nie podpisze? — woła czerwona na twarzy.

— Nie.

— Pożaluje pani tego — ślady na krześle. Zgarnia papiery ze stołu. Maria jedną ręką przytrzymuje zdjęcie Stacha.

— My i tak będziemy dochodzili swoich praw. Przed sąd — krzyczy

kobieta ze złością i groźbą w głosie. — My...

— Mamy świadków — mówi spokojnie chłopak. — My pani pokażemy, udowodnimy...

— Na co masz świadków, wnuczku? — pyta z ironią Maria. Śmieszne, myśli. Na co oni mogą mieć świadków. Na to, że dwadzieścia dwa lata temu pewien chłopak w upalne

noce sierpniowe kochał się z jakąś dziewczyną? Wzrok Marii pada na dedykację na zdjęciu Stacha. Jeszcze raz czyta pisane przez niego słowa. Tak, to na pewno jest jego pismo. Ale tu, gdzie zwykle pisze się nazwę miejscowości, jaśnieje jakaś plamka. Przyjrząwszy się dokładnie Maria widzi, że w rzymskiej cyfrze osiem dopisana jest leciutko, znacznie świeższym atramentem jedna kreseczka. A więc Stach ofiarował to zdjęcie jakiejś Laluni w lipcu, nie w sierpniu. Gdzie on był w lipcu, zastanawia się Maria. Ależ tak, teraz pamięta. Drugą połowę lipca Stach spędził nad morzem, w Gdyni. Więc to tam ta Lalunia... Nigdy już Maria nie dowie się, kim była owa Lalunia.

— Muszę zabrać od pani tę fotografię — mówi kobieta. — To dla mnie jedyna pamiątka po Stachu. Wyciąga rękę po fotografię, ale spojrzawszy na Marię wstaje i podbiega do niej.

— Mamo — mówi błagalnie i pokornie — czemu mama nam nie wierzy? Bylibyśmy razem jak kochająca się rodzina. Zapewnilibyśmy mamie opiekę. Chce mama być nadal sama?

Maria wie jak okropna jest samotność. Ale jaki los czekałby ją z tą fałszywą rodziną? Maria wstaje z krzesła.

— Żegnaj państwa — mówi i głos zasycha jej w gardle. — Żegnaj państwa...

— Ależ mamo, co mama... — woła kobieta, chwytając Marię, usiłując pocałować jej dłoń, ale Maria cofa rękę. Chłopak wstaje także z krzesła. Podchodzi do Marii. Oboje stoją teraz blisko siebie.

— A więc tak... — krzyczy teraz wściekła kobieta — a więc to tak... my tu po dobrej woli... my jak człowiek do człowieka... my tu jak rodzina... a pani?... — wyrwa z ręki Marii fotografię jej syna. — My pani pokażemy... My pójdziemy do sądu... pani jeszcze tego pożałuje... udowodnimy...

Na dole, w sieni słychać jakąś rozmowę. To pewno inżynierowa rozmawia z listonoszem, myśli Maria.

— Chodź mama — mówi chłopak. — Tym razem źle trafił. Może kiedy indziej.

Wychodzą. Już wyszli trzasnawszy drzwiami. Maria została sama. Samotna. I tu tu jeszcze wnuczek zgłosił się do niej? Maria podchodzi do okna. I co tu nowego zobaczy? Zawsze jednakowy widok, zmieniający się tylko powoli wraz ze zmianami pór roku. Drzewo pośrodku podwórka. Pod murem trawnik i kilka krzewów bzu. Obok drzewa bawią się chłopczyk i dziewczynka. To dzieci inżynierostwa. Jak to dobrze, że choć ci ludzie mieszkają w willi. Zawsze to różnej czlowiekowi. Nagle ogarnia Marię przemożna chęć zaproszenia dzieciaków do siebie. Urządzi Joasi i Wojtusiuw małe przyjęcie — kakao, ciasteczka, cukierki, do popijania soczek.

Maria wkłada jesionkę. Schodzi na dół. Chłopczyk i dziewczynka śmieją się z czegoś serdecznie. Wojtus rzuca patykami w drzewo, ku gałęziom, które tracą ostatnie już liście — po żółtkę, martwiejące. Symbol? Głupstwo, myśli Maria. Na starość we wszystkim dostrzegamy zaraz niepokojące symbole.

Na podwórku wychodzi akurat inżynierowa.

— Dzień dobry pani, jak się pani ostatnio czuje? — mówi do Marii miłe się uśmiechając. — Wie pani, chciałam z panią porozmawiać. Oczywiście jeśli ma pani trochę czasu.

— Ależ tak. Słucham. — Coś się Marii nie podoba w głosie inżynierowej.

— Bo wie pani... — mówi tamta — nareszcie dostajemy mieszkanie w blokach.

Maria rozumie. Widzi już cały dom puściuteńki, a na podwórku żaloszne, pozabawione liści drzewo tkwi jak pomnik opuszczenia. Oczywiście Maria postara się o lokatorów, o to nie trudno, ale na jakich ludzi się trafi? Nigdy nie wiadomo. Do tych, z dołu, już się przyzwyczaiła. Zżyła się z nimi, choć Irena wiecznie narzekała, że dzieci śmieją na schodach, hałasują, psocą wykręcając korki od elektryczności.

— To znaczy... kiedy państwo się wyprowadzą? — pyta Maria.

— No, myślę, że może jeszcze w tym miesiącu. Bardzo miło nam się tu mieszkało, a i panie były chyba zadowolone. Kłopotu z wynajciem mieszkania po nas nie będzie pani chyba miała, prawda?

— Nie — mówi Maria. — Nie będę miała. Nawet muszę pani powiedzieć, że to się bardzo dobrze składa.

— Nie rozumiem. Co się dobrze składa?

— No, bo wie pani, pani inżynierowo, proszę sobie wyobrazić, że potrzebuję tego mieszkania na dole, że... że nie będę już sama.

— Czyżby wychodziła pani za mąż? — inżynierowa nie może ukryć lekkiego uśmiešku.

— Ach nie, proszę pani. Tylko że... mój wnuk się odnalazł. Po tylu latach. To już duży chłopak. Potrzebuję pilnie mieszkania, bo się żeni. Akurat pasowałoby im to mieszkanie na parterze. Ja zostalabym na górze, a oni, młodzi tam z matką na dole.

— To cudownie — woła inżynierowa. — Zawsze co rodzina, to rodzina, a nie ktoś obcy.

Inżynierowa najwyraźniej się śpieszy. Mimo to nie odchodzi jeszcze.

— Aha... — mówi. — Co to było? Jakiego dwadzieścia minut temu?...

Kobieta i młody człowiek z długimi włosami... Wychodzili od pani. Krzyżeli coś. Wymyślali komuś. Nic z tego nie rozumiem.

— Nie. To nie do mnie przyszli. Pomylili adres — tłumaczy Maria.

— Niech pani uważa... niech pani uważa... zostanie pani teraz sama, nim się wnuk tu sprowadzi! Niech pani uważa!... A swoją drogą, nie wiedziałam, że ma pani wnuka.

— Ja też — mówi cicho Maria.

Inżynierowa wraca do mieszkania, a Maria stoi jeszcze przez chwilę patrząc jak Joasia i Wojtek strącają z zapamiętałym uporem ostatnie już liście z drzewa.

Nie, nie zaproszę ich, postanawia Maria i wraca do siebie, na górę.

MIECZYŚLAW MICHAŁ SZARGAN



W końcu i tak będziemy jak nocą puste kościoły tylko gdzieś w dali lampka sercowego mięśnia pulsująca jak podgardle starej zmęczonej żaby.

Wreszcie o co się zabijać o ten wątpliwy twardej punktu oparcia desce

na którą się wdziera miliardy palców gotowych na śmierć zadrapać palec własnej matki.

Samotny samotny bardziej niż w szarym polu budynek opuszczonej cegielni niż pies przejechały na słonecznym asfalcie przynajmniej rację kwiatom polnym i odłąd od nich będąc się uczył ludzkiej godności.



AMSTERDAM

Seria „ABC”, prezentująca najciekawsze...

powiedzieć, że w tym państwie o niespełna 12 milionach...

To tylko próbka nieodczytaności tego kraju, Jan Baliński...

Jan Baliński „Amsterdamskie ABC”, Wyd. Iskry, cena 30 zł.

MŁODOŚĆ GOMBROWICZA

Tadeusz Kępiński napisał piękną książkę. Po prostu, i nie...

Tadeusz Kępiński „Gombrowicz i świat jego młodości”, Wyd. Literackie, cena 70 zł.

GRAFIKA

PWN opublikował w pięknym albumowym wydawnictwie...

Kto jednak nie chce się zadowolić samym oglądaniem...

„Grafika wczoraj i dziś”, Wyd. PWN, cena 84 zł.

PIĘTNAŚCIE WIERSZY

Ukazał się wieloformatowy tom... piętnastu wierszy Juliana...

Dziwnymi drogami chadza polityka wydawnicza. Niedawno...

Julian Tuwim „Z „Trzeci gorzejcej”, oprac. graf. E. Murawska...

LISTY

„Prawdy szukamy obaj” — taki tytuł nosi ta ciekawa...

W interesującym szkicu „Dialog i mit dialogu” Marek...

Miedugo trwała i listowna wymiana myśli. Pierwszy list...

„Prawdy szukamy obaj”, Wyd. Czytelnik, cena 75 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

- A. Jackiewicz „Historia literatury w moim kinie”, WAIF...

FILM

O MIŁOŚCI SŁÓW KILKA

Karel Kachyna należy do grona najwybitniejszych reżyserów...

dziennym życiu tak łatwo rozgranicza dobro i zło. Twórczość Karela Kachyny...

działających filmowe opowiadanie o miłości. Film Kachyny łączy...

bardziej śmieszna chwila, lecz niezbędna również tym, którzy kiedyś...

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

„USZCZELKA”

Niewątpliwym sukcesem w najszerzej widowni nowego cyklu...

na w tych rejestrach widzenia rzeczywistości. Sądzę, że to...

skuteczność... itd., itd., itd. Ten ciąg niejednoznaczności...

nice filmu w obliczu naporu realiów moralna teoria zaczyna się...

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

MUZEUM

MUZEUM W WIELUNIU

Pierwsza ekspozycja Muzeum Ziemi Wieluńskiej w Wieluniu...

woślach, ruszyła akcja odczytowa, ogłoszono konkurs na sztukę...

ce o charakterze ratowniczym. Całości prac tego działu...

wcze, w wyniku których napływają do muzeum nowe zabytki...

Po latach chudych, w których nieraz przyszło walczyć z przeciwnościami losu...

W 1970 r. otwarta została wystawa „Pieniądz kruszcowy w Polsce”...

Również w 1973 r. Muzeum Wieluńskie przy współpracy Okręgowej Komisji...

Planu rozwoju Muzeum w Wieluniu przewidują utworzenie oddziału...

JERZY AGUSTYŃIAK

